WTOREK Nr 39 25 V 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

PRZYSZLI ROLNICY Z ZIELONEJ LUBIĄ TEATR, HISTORIĘ I FOTOGRAFIKĘ

ZIELONA (HSI). W Zespole Szkół Rolniczych w Zielonej koło Mławy (województwo ciechanowskie) naukę zdobywa bez mała dziewięćset uczniów. Wszyscy oni uczą się zawodu rolnika różnych specjalności w pięcioletnim Technikum Rolniczym, Technikum Rachunkowości Rolnej, czteroletnim Technikum Ekonomicznym o specjalnościach rachunkowość rolna i ogólna, dwuletniej zasadniczej szkole zawodowej o specjalnościach ogrodniczej, warzywnej i wielorolnej. Zespół Szkół Rolniczych w Zielonej ma cztery filie: w Lipowcu Kościelnym, Lutocinie, Raczynach i Bieżuniu. Przy szkole jest również niewielki internat.

Ponieważ szkoła nie ma własnego gospodarstwa rolnego (pisaliśmy o tym problemie!), dziewczęta i chłopcy wiedzę praktyczną zdobywają w miejscowym państwowym gospodarstwie rolnym. Od kilkunastu miesięcy współpraca ta układa się bardzo dobrze.

W szkole działa wiele kół naukowych i zainteresowań. Największym powodzeniem cieszą się: historyczne, wiedzy społeczno-politycznej, fotograficzne, teatralne i hodowlane. Chłopcy sami wykonali sporo pomocy naukowych, np. przekroje części maszyn rolniczych, schematy, tablice itp. Niebawem zostanie wykonana przez uczniów piękna sala audiowizualna. Działa też zespół folklorystyczny, który kultywuje piękno folkloru północnego Mazowsza i uświetnia wszystkie szkolne i gminne uroczystości.

O tym święcie – Dniu Matki – najmilszym ze wszystkich – nikt z Was nie powinien zapomnieć! Kwiatek i życzenia dla Mamy są najbardziej szczere ze wszystkich. Każdy wie na pewno i najlepiej, co jego Mama chciałaby usłyszeć.

My zaś życzymy im wszystkim – kochanym, ofiarnym i niezawodnym – pogodnego uśmiechu i najlepszych pod słońcem dzieci.

Fot. W. Wróblewski

Latwo ich rozpoznać na każdym rajdzie czy zlocie hufcowi chorągwi. Zimno, mżawka, deszcz, wszyscy szczękają zębami i opatulają się szczelnie, a męska część „Szesnastki" paraduje w krótkich spodenkach koloru khaki, w nieodłącznych czarnych skarpetach i w dodatku z podwiniętymi rękawami bluzy. Rzuca się w oczy charakterystyczna krajka i ozdobny otok na rogatywce. Taki fason, taki styl. O tym, że są i tacy, co krzywo patrzą na tę ich pewność siebie i zadziorność, wie prawie każdy z 16 WDH. Zresztą tak było zawsze. To znaczy prawie przez siedemdziesiąt lat, gdyż właśnie tyle czasu istnieje Warszawska Drużyna im. Zawiszy Czarnego. Zmienne były koleje losu drużyny, ale świadomość, że istnieją tak długo jak polskie harcerstwo, że bywali „bardzo dobrą drużyną Rzeczypospolitej" (to tytuł z lat trzydziestych) pomagała im wyjść z niejednego impasu. O losach drużyny przeczytacie na str. 3.

PO PROSTU SZESNASTKA

„Wielka geografia Polski"

(PAN). W Instytucie Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN przygotowuje się „Wielką geografię Polski". Kilkutomowe dzieło będzie podsumowaniem całej wiedzy geograficznej o naszym kraju, ze szczególnym uwzględnieniem najnowszych badań.

„Wielka geografia Polski" składać się będzie z trzech zasadniczych części. Pierwsza poświęcona geografii fizycznej obejmować będzie zagadnienia rzeźby powierzchni, wód, klimatu, szaty roślinnej. W części drugiej przedstawione zostaną zagadnienia społeczno-ekonomiczne: problemy demograficzne, osadnictwo, bogactwa naturalne, przemysł. Będzie to pełne przedstawienie zachodzących zmian i procesów oddziałujących na rozwój gospodarki i zmiany środowiska naturalnego. Wreszcie trzecia część tego dzieła przedstawi praktyczne zastosowanie nauk geograficznych dla przestrzennego zagospodarowania kraju i ochrony środowiska.

19 WYPRAW BATYSKAFEM DO PODMORSKICH WULKANÓW W MORZU CZERWONYM

ZSRR (PAP). Ekspedycja Instytutu Oceanologii Akademii Nauk ZSRR znalazła na dnie Morza Czerwonego ślady aktywności wulkanicznej. Obserwacje prowadzono za pomocą batyskafu, który 19 razy zanurzał się aż na samo dno morza. Dokładnie zbadano fragment głębokiej szczeliny na dnie Morza Czerwonego, otoczonej krawędziami o wysokości do 500 m. Wiek skał na dnie rozpadliny wynosi od 500 tys. do 3 mln lat. Występują tu bardzo młode potoki lawowe. Warstwa osadów dennych w tej części Morza Czerwonego narasta w tempie ok. 10 cm na 1000 lat. Uczeni radzieccy rozpoznali źródła takich wylewów – są to niewielkie, mające do 300 m wysokości spłaszczone stożki wulkaniczne ze słabo zaznaczonymi kraterami.

Badania podwodnych wulkanów na dnie Morza Czerwonego mają duże znaczenie dla badań stref wulkanicznych na Atlantyku. W Morzu Czerwonym zachodzą bowiem w mniejszej skali te same zjawiska, które spowodowały na Atlantyku wypiętrzenie gigantycznego łańcucha górskiego – Grzbietu Środkowoatlantyckiego.

PIEC „CENTRALNEGO OGRZEWANIA" Z XVII WIEKU

(PAP). Podczas porządkowania piwnic budynków poklasztornych zakonu Paulinów w Pinczowie natrafiono na nieznaną budowlę. Po szczegółowych oględzinach okazało się, że jest to kamienny piec „centralnego ogrzewania", połączony kanałami z kilkudziesięcioma celami zakonników. Działanie urządzenia polegało na polewaniu wodą rozpalonych i ułożonych w piecu kamieni, para dochodziła kanałami do każdego pomieszczenia, w którym temperatura w zimie dochodziła do ok. 16 stopni C. Ilu palaczy było zatrudnionych w klasztorze – kroniki milczą.

Budynek klasztorny w Pinczowie został wzniesiony na przełomie XVI i XVII wieku, wyposażony on był nie tylko w centralne ogrzewanie, ale także w wodociąg, który wybudowany został w tym mieście ok. 1600 r. Woda wypływająca ze źródeł na pobliskim wzgórzu doprowadzana była do rynku i poszczególnych ulic drewnianymi rurami.

Opuszczone budynki poklasztorne zostały przejęte przez resort kultury. Mieści się tam obecnie m. in. muzeum regionalne, które w odrestaurowanych piwnicach zgromadziło eksponaty z dawnego zamku pinczowskiego.

MAŁPA KUPUJE BANANY

Czy można nauczyć małpę robić zakupy? Radziecki lekarz A. Szczastnyj przeprowadził interesujący eksperyment na szympansach. Przed podaniem posiłku pokazywano szympansowi trójkątny żeton, przed podaniem wody – kwadratowy. Okrągły żeton oznaczał „teraz dostaniesz zabawkę, abyś się nie nudził". Powtarzano to wielokrotnie. Wreszcie przyszedł czas na sprawdzenie efektów nauki. Szympans otrzymał trzy rodzaje „pieniążków" – trójkątny, kwadratowy i okrągły. Był zapewne głodny, ponieważ wybrał trójkątny żeton i podał eksperymentatorowi, aby otrzymać coś do zjedzenia.

W ten sam sposób przeprowadzone zostało doświadczenie na innej małpie. Potem ustawiono klatki obu „wykształconych" szympansów obok siebie. Jeden z nich był uprzednio dobrze nakarmiony i napojony. W jego klatce stała miska pełna bananów. Drugi szympans był celowo trochę przegłodzony, ale za to miał w swojej klatce zabawkę. Obydwie małpy miały pełen zestaw żetonów. I cóż się stało? Głodna małpa bez wahania przecisnęła łapę między prętami i podała sąsiadce żeton na jedzenie. W zamian za to otrzymała... jednego banana. Tymczasem druga małpa szybko wybrała okrągły żeton, aby otrzymać zabawkę.

Ten zabawny eksperyment świadczy o tym, że zwierzęta o wyższym poziomie rozwoju zdolne są przyswoić sobie system umownych sygnałów i posługiwać się nimi w kontaktach pomiędzy sobą. **(jz)**

To lubimy najbardziej...

CAF. Kubuś Puchatek i jego przyjaciele na scenie teatru „LOUTKA" (LALKA) w Pradze (Czechosłowacja). Teatr ten, działający od 30 lat, wystawił już około 120 widowisk prezentując je nie tylko na własnej scenie, ale także gościnnie w licznych przedszkolach.

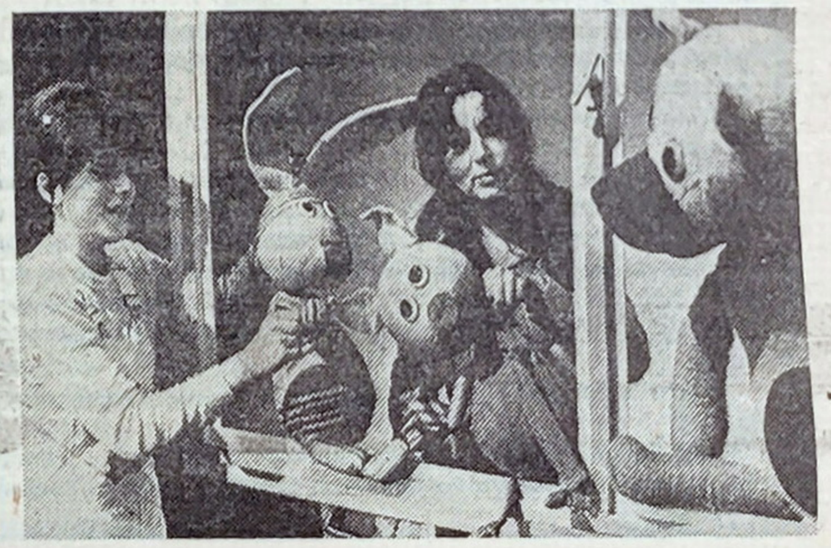

Bez pracy nie ma kołaczy

NAJPIERW POMYŚL POTEM ZRÓB

...co ma znaczyć: tylko sensowna praca daje wyniki. Ba! Oto kilku robotników pracowicie przekopuje prosty i równiutki chodnik, aby go jeszcze bardziej wyrównać. A dwie ulice dalej – żal patrzeć jak przechodnie wykręcają nogi w pełnym dziur chodniku! Inny przykład: na osiedlu wybudowano dwa wieżowce, postawiono śmietnik. Tyle że nie z tej strony, co trzeba i aby do niego dojść, mieszkańcy jednego z wieżowców musieli obchodzić kawał trawnika. Ale, że nie lubili się męczyć, więc chodzili na przełaj. Co roku ścieżka wydeptywana przez mieszkańców była kopana, grabiona i od nowa siano tam trawę. Mieszkańcy byli jednak niezmordowani. Tak ciągnęło się parę lat i dopiero ktoś wpadł na pomysł, że można przecież ułożyć kawałek chodnika i przestać się mordować z sianiem trawy i stawianiem tabliczek „Nie depcz zieleni" (tabliczki te też znikły w zadziwiający sposób).

A cóż można powiedzieć o takim powiedzonku: pracuj, pracuj a garb ci sam wyrośnie? Nic. Ono mówi samo za siebie. A raczej mówią za siebie ci spryciarze, których zawsze było pełno. Zastanawiam się, czy taki spryt to nasza cecha narodowa i spadek po przodkach?!

Ewa Mrowczyk (kl. VIII)
Kraków

UCZCIWOŚĆ POTRZEBNA OD ZARAZ

Właśnie z bolącą głową i w nie najlepszym zdrowiu skończyłam pisać zadanie koleżance (w internacie, rzecz jasna): interpretacja paru cytatów z j. polskiego. Niezamierzona powtórka z poprzednich klas – a nóż widelec się pomylę?! Tak jest dosyć często, nikt nie zważa na to, że się źle czuje, czy też, jak wszyscy, muszę choć odrobinkę się pouczyć. Delikwent jest w stanie łazić za mną i marudzić, dopóki się nie zlituję. Najpierw jednak staram się wytłumaczyć. Zwykle nic to nie daje i trzeba własnoręcznie „odwalić" to, niby króciutkie, zadanko. Nie czuję się wówczas dobrze ani duchowo, ani fizycznie (całkowity brak czasu na relaks). Moje „pracodawczynie" są jednak zadowolone, bo to ani rączką nie trzeba ruszyć, ani główką, a wymarzony, lub też nie (zależnie od moich predyspozycji) stopień ma się z głowy. Na czym więc polega ich praca? Chyba jedynie na tzw. „jeździe na barana" czyli przepisaniu (nie zawsze ortograficznie) zadanka po uprzednim udręczeniu mojej osoby (wówczas nawet słówko „dziękuję" do mnie nie dociera). Zaś moje obowiązki mogą mnie jedynie straszyć po nocach...

Nie tak, całkiem nie tak, wyobrażam sobie pomoc koleżeńską...

Lubię natomiast, i to bardzo, pomagać ludziom, którzy naprawdę tego potrzebują; sprawdzić czy poprawić zadanie, wytłumaczyć temat, zrobić szkic do rysunku. Wówczas „kołaczem" jest dla mnie radość, że pomogłam komuś najlepiej jak umiałam, z całego serca.

Przyszedł mi na myśl pewien nieprzyjemny przypadek sprzed dwóch lat, gdy mieszkałam w jednej sali z dziewczynami z tej samej klasy. Były więc te same problemy, zadania... Prawie zawsze pisałam wypracowania z j. polskiego i historii (przede wszystkim) pewnej koleżance. W zamian za to ona w piątek generalnie sprzątała pokój, gdy ja miałam dyżur. W końcu znudziła mi się funkcja maszyny do pisania zadań i zbuntowałam się. Po pewnym czasie zginął mi zeszyt do historii. Przepadł jak kamień w wodę!! Nazajutrz zaś historyk wysłuchał mojego zadania... niestety z zeszytu tejże koleżanki (widocznie pech tak chciał?). Nie zgłosiłam sprzeciwu do tej czwórki, ale pogarda pozostanie na wieki.

„Kołacze" mogą być więc również bez pracy, bez solidnej pracy, bez żadnej pracy. Na jutro potrzeba nam więc uczciwości zarówno w szkole, jak i w życiu codziennym. Na każdym kroku – wszędzie!

Miałam nadzieję, że w tym roku w internacie życie będzie o wiele ciekawsze, bowiem mamy stałą wychowawczynię, a nie dochodzących na dyżury profesorów. Sporadyczne imprezy organizujemy zwykle w parę osób i to „za pięć dwunasta". Nie mamy żadnej porady, pomocy i w ogóle profesorkę chyba nic nie obchodzi fakt, że należałoby nam pomóc jakoś urozmaicić życie tak monotonne. Co prawda odbyło się już u nas parę wieczorków: powitanie pierwszoklasistów, „Andrzejki", konkurs piosenki, konkurs tenisa stołowego a obecnie zbliża się pożegnanie maturzystów, ale do tych nielicznych „kołaczy" nie mogę niestety zaliczyć zaplanowanych wieczorków, gawęd, balu maskowego, zabawy karnawałowej i wielu innych, które odbędą się na pewno na Świętego Nigdy.

Teraz zaś biorę pod lupę szkołę. Uczniowie dzielą się na tych, co ponoć wcale się nie uczą, tych, co może coś tam umieją i tych, którzy wszystko wiedzą. Prawda czy uprzedzenie? Jednak jeszcze nigdy nie spotkałam się z przypadkiem, żeby ci spoza elity otrzymali piątki za odpowiedź (szczególnie z niektórych przedmiotów). A klasówki? A przecież umieć mogą wszyscy. Nie będę przytaczać już przykładów, ale gdy ten, kto lepiej odpowiada otrzymuje jedynie dobry, a prymus zawsze laury...

Barbara
Członek Ligi Reporterów

TO MUSI SIĘ SPRAWDZIĆ!

Niektóre stare przysłowia wciąż pozostają prawdziwe, inne z czasem tracą swą aktualność, lecz nadal pozostają w mowie potocznej. A jak jest z tym o pracy i kołaczach? Otóż ograniczając ten problem do sfery życia jednego człowieka, jest i było ono fałszywe, bowiem istnieli dawniej ludzie, którzy stosunkowo małym, lub żadnym nakładem pracy zdobywali wielkie majątki. A i teraz są wszędzie tacy, którzy w jakiś „cudowny" i „tajemniczy" sposób szybko dorabiają się niebagatelnych kapitałów. Jednakże takie podejście do sprawy jest błędne, bo żadnego problemu nie można rozpatrywać na przykładzie jednego tylko człowieka, tak jak zdanie wyrwane z kontekstu nie ma sensu. Tak więc na tę sprawę spojrzeć trzeba z szerszej perspektywy, obejmującej poszczególne warstwy społeczne, a nawet i całe narody.

Idealną zgodność z prawem „Bez pracy nie ma kołaczy" wykazałby żyjący samotnie na łonie przyrody człowiek bez kontaktu z innymi ludźmi. W społeczeństwie sprawa ta się jednak komplikuje, chociaż sama zasada pozostaje prawdziwa. I (jak to niektórzy uważają) spekulanci, złodzieje, oszuści itp., nie są wcale zaprzeczeniem omawianego przysłowia. Trzeba tylko wziąć pod uwagę pewne stwierdzenie, mianowicie że: w przyrodzie nic nie ginie – najwyżej zmienia właściciela. I w tym jest cały problem. Przysłowiowe kołacze, czyli owoce pracy ludzkiej nie mogą powstać z niczego. Na pieniądze, czy dobra materialne nieuczciwie zdobyte, np. przez kombinatora, ktoś musiał zapracować i ten ktoś na tym traci. Natomiast złodziej czy spekulant zyskuje. Taka jest prawda i tak było, jest i jeszcze przez jakiś czas na pewno będzie.

Chłop pracował ciężko a był biedny, bowiem owoce jego pracy stawały się własnością pana feudalnego. Więc nie można powiedzieć, że przysłowie o pracy i kołaczach nie sprawdza się, gdy człowiek ciężko pracuje, a osiąga niewiele. Wtedy po prostu należne mu „kołacze" otrzymuje ktoś inny...

Zresztą prawdziwość powyższego przysłowia sami odczuwamy na własnej skórze w postaci... kryzysu. Nie znam wszystkich jego przyczyn, ale jedną z poważniejszych było zwykłe marnotrawstwo. Znane są przykłady niszczenia różnych produktów, surowców, nowych pojazdów, urządzeń, maszyn (kupowanych często za dewizy). Włożona w nie praca przepada zatem bezpowrotnie i tę stratę trzeba uzupełnić pożyczkami lub bardzo wydajną, wytężoną pracą. Lecz tej ostatniej u nas brakowało, a długi, owszem, są!

Uprościłem nieco sprawę, rozważając ją na przykładzie jednej tylko przyczyny, ale w gruncie rzeczy zawsze będzie chodziło o to samo – marnowanie pracy ludzkiej, lub niewłaściwe rozdzielanie „kołaczy".

A jak jest z tym przysłowiem, jeśli chodzi o twórczość? Właściwie podobnie; też się sprawdza, chociaż o ile poprzez mozolną pracę można dojść do perfekcji w rysowaniu, czy grze na jakimś instrumencie, to nie można dzięki niej dojść do talentu.

Więc konkludując, jeżeli spojrzymy na wymowę tego przysłowia z punktu widzenia jednostki, może się nam ono wydać fałszywe, lecz traktując problem bardziej ogólnie, wyjdzie na to, że się jednak sprawdza.

„Bez pracy nie ma kołaczy" – przysłowie to powinno (a nawet musi) sprawdzać się w państwie socjalistycznym, bo jest jedną z podstaw dobrej organizacji i sprawiedliwości.

Marek Głowacki (16 lat)
Łódź

Spotkania

JUTRO

Zły czarodziej może wszystko. Ale ma też i swoją cenę. Ten powiedział chłopcu rzecz straszną: spełnię każde twoje życzenie, jeśli przyniesiesz mi serce matki. Upojony wizją wiecznej młodości, bogactwa i szczęścia chłopak spełnił żądanie czarodzieja. Z wyrwanym z matczynej piersi sercem spieszy właśnie przez las, by odebrać obiecaną nagrodę. Nagle potknął się o wystający korzeń i przewrócił się. Serce wypadło mu z dłoni. Gdy powstawszy schylił się, by je podnieść, głosem matki zapytało: czy nic sobie złego nie zrobiłeś?

Nie wiem, skąd znam tę przerażającą bajkę, nie wiem, kto i kiedy ją napisał, ale wiem, że o matczynej miłości mówi ona prawdę. Moją prawdę, której nie są w stanie podważyć prawdy innych.

„Ona mi pierwsza pokazała księżyc i pierwszy śnieg na świerkach, i pierwszy deszcz..."

A tego dnia, gdy przyszła do mnie na kolejną rozmowę, powiedziała po raz pierwszy: ja chyba go zabiję! Bo nie uczył się, w szkole lekceważył wszystkie istniejące normy, a jeszcze częściej lekceważył po prostu w ogóle szkołę i nie zaglądał do niej całymi tygodniami. Kilkakrotnie złapano go na drobnych kradzieżach, choć w domu niczego mu nie brakowało. Potem zaczął kraść w autobusach. Gdy przychodził razem z nią, stawał obok i milczał, słuchając obojętnie – ja go chyba zabiję!

„Byłem wtedy mały jak muszelka, a czarna suknia matki szumiała jak Morze Czarne..."

Zabierała go wszędzie. Bułgaria, Rumunia, Jugosławia... Ubrany w najdroższe ciuchy, obłożony kasetami i płytami, korzystający z pewexowskich sklepów, z własnych funduszy „na drobne wydatki". Teraz przyniosła mu do szkoły drugie śniadanie którego zapomniał ze sobą zabrać. I oto stoją oboje na szkolnym korytarzu i rozmawiają ze sobą podniesionymi głosami, w których narastająca nienawiść przekreśla możliwość jakiegokolwiek porozumienia.

„Noc. Dopala się nafta w lampce. Lamentuje nad uchem komar. Może to ty, matko, na niebie jesteś tymi gwiazdami kilkoma?..."

Wypalił jej całą paczkę zapałek i zapas świec. Poopalał meble, poniszczył książki, których nie pozwoliła mu czytać. Wiecznie zagląda do jej szafy, przewracając nie swoje rzeczy. Zaczął podbierać pieniądze, wynosić na sprzedaż garderobę. Nie licząc się z kartkowymi przydziałami, pustoszy lodówkę. Zaglądał już do imieninowej butelki z alkoholem. Przy konfrontacji podnosi głos: przecież to jest również moje! W domowych sprzeczkach podnosi na matkę także rękę.

„A może jest południowa godzina, mazur pszczół w złotych sierpnia pokojach? Wczoraj szpilkę znalazłem w trzcinach – od włosów. Czy to nie twoja?..."

Pierwszy ma piętnaście, drugi czternaście, trzeci trzynaście lat... Jak przez ten czas wypełniony miłością i nieporozumieniami, nadzieją i rozczarowaniami, ufnością i kłamstwami oddalili się tak bardzo od tych, które czuwały nad ich pierwszymi krokami... Kiedy zaczęło się to rozmijanie wzajemnych oczekiwań i narastanie wrogości, którą dziś tak trudno pokonać...

„Jak pudełko świeczek choinkowych nagle w rękę, gdzieś od dna kredensu, myśli nagle tak wchodzą do głowy, serce trącą i sercem zatrzęsą. Świeczki takie kupowała mama. One drzemią. W nich śpi piękny zamiar..."

Obudźcie jutro wszystkie piękne zamiary zagubione w pośpiechu codzienności, pokonane przez złą wolę, albo zapomnienie. Koniecznie właśnie jutro... Matki mają przecież nie tylko poeci i nie tylko wiersz może wyrazić to co najważniejsze, choć ja właśnie „Spotkanie z matką" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego wybrałem jako tło naszego dzisiejszego spotkania.

A jeśli czujecie, że któraś z przytoczonych tu sytuacji stała się już lub może się stać wkrótce i Waszym udziałem, pomyślcie jak cofnąć lub odwrócić bieg wypadków. Bo zależy to również od Was.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Jeszcze raz o klasie, lecz tym razem dobrze

Często czyta się skargi na klasę. Ja natomiast chcę pochwalić się swoją klasą. Jest ona fajna i zgrana. Chodzimy już razem do niej siedem lat. Pewnie, że na początku nikt nikogo dobrze nie znał i nie było w związku z tym takiej mocnej zażyłości. Ale od piątej klasy staliśmy się najbardziej zgraną grupą w szkole. Tego właśnie chciałam ja, moje koleżanki i koledzy. Wszyscy wspólnie pracowaliśmy nad tym, aby każdy uczeń czuł się w naszej klasie dobrze, a ona jako całość tworzyła zgrany i godny podziwu zespół. Udało się! Jesteśmy podziwiani przez koleżanki i kolegów z innych klas, a także przez nauczycieli.

Renia

Biuro POD

Chcemy poszerzyć wiadomości o patronce naszej szkoły

Uczniów klas siódmych ze szkół noszących imię Marii Skłodowskiej-Curie prosimy o nawiązanie z nami kontaktu. Nasza klasa liczy 20 uczniów: 10 dziewcząt i 10 chłopców. Zgadzamy się ze sobą. Jesteśmy w trakcie przygotowywania IV Olimpiady poświęconej pamięci patronki naszej szkoły. Prosimy o listy.

Szkoła Podstawowa
im. Marii Skłodowskiej-Curie
klasa VII
66-134 Konotop 114

Jak się zapoznać?

Wszystko zaczęło się mniej więcej rok temu. Po raz pierwszy zobaczyłam go podczas spaceru z koleżankami. Widuję go często i darzę coraz większym uczuciem. Co z tego, gdy on nawet nie ma pojęcia o tym wszystkim. Kilkakrotnie chciałam z nim porozmawiać, jednak w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. Jestem szalenie wstydliwa i nieśmiała. Nie chcę zrobić pierwszego kroku, bo boję się, że chłopak ten nie będzie miał później o mnie najlepszej opinii. Chcę po prostu zwrócić jego uwagę na siebie, ale zupełnie nie mam pojęcia jak to zrobić. Poradźcie mi coś.

Aneta

OD REDAKCJI: Już wiele razy „podszeptywaliśmy" różne sposoby na wzajemne zapoznawanie się. Jakie były tego efekty – nie wiemy. Nie chcemy się powtarzać, a nic nowego nie przychodzi nam w tej chwili do głowy. Pomyśleliśmy więc, że może pomogą nieśmiałej Anecie koleżanki bardziej przedsiębiorcze w tej kwestii? Te dziewczęta, które znają subtelne, a skuteczne sposoby zwracania na siebie uwagi, niech szybciutko napiszą do redakcji. Ciekawe wypowiedzi wydrukujemy; dzięki temu skorzysta z nich nie tylko Aneta. Skoro poruszyliśmy znowu temat zapoznawania się (szczególnie aktualny każdej wiosny i latem – wakacje za pasem) oczekujemy także na listy od płci brzydkiej. Niech i „panowie" zdradzą swe sekrety – jakimi sposobami poznają nieznajome dziewczyny. Może i dziewczęta i chłopcy zwierzą się jak lubią być „podrywani"? Na kopercie dopiszcie: „Poznajemy się". (mm)

Na mapie świata

● 27 RUNDA W WIEDNIU ● START ZAMIAST SALT ● ROCZNY BILANS MITTERRANDA

W historycznej Sali Redutowej wiedeńskiego Hofburgu, pamiętającej czasy kongresu wiedeńskiego, 13 maja br. rozpoczęła się kolejna, 27 runda rokowań rozbrojeniowych. Bierze w nich udział 19 delegacji europejskich oraz Kanada i USA. Rokowania dotyczą redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej, a więc na terytorium następujących państw: Polski, Czechosłowacji, NRD, RFN, Belgii, Holandii i Luksemburga. Negocjacje wiedeńskie mają już ponad 8-letnią historię, a właściwie idea stworzenia w tej części Europy strefy pokojowej współpracy sięga roku 1957, w którym ówczesny minister spraw zagranicznych Polski, Adam Rapacki przedłożył w imieniu naszego kraju projekt rozbrojeniowy – zwany później Planem Rapackiego.

I cóż, lata lecą, a w Wiedniu ciągle radzą. W tak długich i tak skomplikowanych negocjacjach były okresy nadziei i przygnębienia. Kiedy już się wydawało, że rokowania zostaną zerwane, znowu następowało ożywienie rozmów. Wydaje się, że obecne już 304 spotkanie rozpoczęło się w duchu większego optymizmu. A stało się tak za sprawą delegacji państw socjalistycznych, które w minionej 26 rundzie zgłosiły kolejny projekt rozbrojeniowy, będący kompromisem różnych koncepcji. W wielu punktach jest on nawet zbieżny z propozycjami zachodnimi. A więc istnieje szansa, że sprawa ruszy z miejsca, chociaż nie łudźmy się, iż tym razem w Wiedniu dojdzie do podpisania wspólnego, uzgodnionego POROZUMIENIA. Dopóki jednak rokowania trwają, optymizm nie powinien nas opuszczać.

* * *

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że powodzenie wiedeńskich rozmów rozbrojeniowych w dużym stopniu uzależnione jest od porozumienia się dwóch supermocarstw ZSRR i USA. I to w sprawie zasadniczej – ograniczenia zbrojeń strategicznych. Otóż wydaje się, że w ostatnich tygodniach twarde stanowisko amerykańskie w sprawie przystępowania lub nie do rokowań ulega łagodzeniu. Nie mały wpływ na tę postawę mają ogromne protesty na zachodzie Europy, a także w Stanach Zjednoczonych przeciw wyścigowi zbrojeń. Tę odwilż wyczuwa się w przemówieniu prezydenta Ronalda Reagana, które wygłosił na początku maja w Eureke College w stanie Illinois, uczelni, którą sam ukończył w roku 1932.

Pozornie wydawałoby się, że nastąpił zwrot w amerykańskiej polityce zbrojeniowej. Jednakże, przy głębszym zapoznaniu się z proponowanymi przez Reagana rozwiązaniami w sprawie rokowań ze Związkiem Radzieckim dochodzimy do wniosku, iż są to tylko propagandowe przygotowania przed wizytą prezydenta w Europie Zachodniej. Po prostu chce on wypaść jako orędownik pokoju. Tymczasem jeśli chodzi o konkrety, to Reagan zgadza się tylko na rokowania w sprawie ograniczenia liczby rakiet strategicznych i ilości głowic jądrowych, a nie całego arsenału broni strategicznych. Ograniczenie takie motywował tym, że „rakiety te raz odpalone z wyrzutni nie mogą być już cofnięte". Uwagę zgłoszoną na konferencji prasowej, że nisko latające Cruise też nie można zawrócić z trasy, prezydent zbył nieprzekonującym zdaniem: „Ale Cruise lecą wolno, godzinę i więcej do celu, gdy tymczasem rakiety strategiczne od kilku do kilkunastu minut". Ronald Reagan odrzucił również ratyfikowanie podpisanego w 1979 roku układu SALT II, ponieważ „układ ten nie służy już pożytecznym celom obronnym USA". Z kolei przyjęcie radzieckiej zasady zamrożenia zbrojeń jądrowych jako wstępu do ich redukcji też nie wchodzi w rachubę, gdyż „postawiłoby St. Zjednoczone w niekorzystnej sytuacji w stosunku do Zw. Radzieckiego". A więc już tych kilka przykładów świadczy, że przyszłe rokowania dwustronne wcale nie będą łatwe. Ale dobre i to, że się w ogóle rozpoczną.

* * *

Przed rokiem, dokładnie 10 maja 1981 roku, francuska lewica – socjaliści i komuniści – odnieśli w wyborach prezydenckich zwycięstwo. François Mitterrand (Partia Socjalistyczna) został prezydentem Francji. W powołanym przez niego rządzie lewicowym zasiada, obok socjalistów, czterech ministrów komunistycznych. Wprawdzie prezydent zakazał organizowania jakichkolwiek uroczystości z okazji pierwszej rocznicy swych rządów, w prasie francuskiej, a i zagranicznej także, nie brakuje prób bilansowania dokonań. W programie przedwyborczym lewica obiecywała Francuzom „powiew świeżego powietrza" w polityce gospodarczej i społecznej, a przede wszystkim nacjonalizację przemysłu i reformę administracyjną. I obietnicy dotrzymała. 11 lutego br. Zgromadzenie Narodowe uchwaliło ustawę o nacjonalizacji.

Państwo dysponuje teraz potężnymi środkami ekonomicznymi: niemal całością sektora bankowego, 85 proc. przemysłu lotniczego, 80 proc. hutnictwa, 74 proc. przemysłu zbrojeniowego, 52 proc. metalurgii, 48 proc. podstawowego przemysłu chemicznego, 42 proc. elektroniki i urządzeń gospodarstwa domowego, 35 proc. przemysłu szklanego.

2 marca 1982 rząd zatwierdził ostatecznie jedną z najbardziej rewolucyjnych ustaw, dotyczącą decentralizacji. Kładzie ona kres centralistycznej tradycji państwa francuskiego narzuconej w XVII wieku przez Ludwika XIV i potwierdzonej na początku ubiegłego stulecia przez cesarza Napoleona I. Administracja regionów, które do niedawna podlegały kontroli przedstawiciela władzy centralnej, a więc prefekta, została powierzona zgromadzeniom regionalnym i radom generalnym pochodzącym z wyborów powszechnych. Prefekt stał się „komisarzem Republiki" i jest teraz tylko lokalnym reprezentantem rządu.

François Mitterrand wyjaśnił, że „**decentralizacja opierająca się na odpowiedzialności członków władz lokalnych pochodzących z wyboru i uznająca prawo do lokalnych różnic, jest także dodatkowym instrumentem działającym na rzecz rozwoju gospodarczego i zwiększenia liczby miejsc pracy**".

Jak pisze prasa francuska, żaden rząd nie dokonał tak wielu rzeczy w tak krótkim czasie. Oczywiście, zmiany wprowadzone w życie nie są dziś odczuwalne przez przeciętnego Francuza, na ich efekt trzeba będzie poczekać.

STANISŁAW BOROWIECKI

PO PROSTU SZESNASTKA

Wszystko zaczęło się jeszcze przed pierwszą wojną światową, w 1911 roku. Do Kongresówki docierały z Galicji pierwsze wieści o nowej formie organizowania się młodzieży. Tu i ówdzie powstawały już grupy skautowe. Powstawały w konspiracji, bo od samego początku miały utajony cel: wychowywać młodzież w duchu patriotyzmu, ćwiczyć jej sprawność fizyczną, przygotowywać do udziału w walce o niepodległość. Taki program podobał się kilkunastoletnim uczniom Warszawskiej Szkoły Realnej Stowarzyszenia Techników im. Stanisława Staszica. Toteż nic o sobie nawzajem nie wiedząc dwaj chłopcy: Jerzy Wądołkowski i Janusz Rudnicki stworzyli w tym samym czasie dwa skautowe zastępy. Dość szybko połączyły się ze sobą i w ten sposób powstała w „Staszicu" drużyna harcerska, która na swojego patrona wybrała Zawiszę Czarnego. Były już wtedy wycieczki za miasto, terenowe ćwiczenia i nauka stawiania szałasów, budowania kuchni, rozpalania ogniska, czyli po prostu pionierka. W obawie przed wyśledzeniem przez carską policję przemykali się na miejsca biwaków – pojedynczo, po cywilnemu. Dopiero zaszyci gdzieś w lesie wyżywali się w grach i zabawach.

Na pierwszy prawdziwy obóz letni wyjechali do Kołbów na Polesiu dopiero w 1913 roku. W parę miesięcy później zaczęli nosić harcerskie mundury. Na szczęście zachowało się parę unikalnych zdjęć z tych wczesnych lat. Jedno z nich ukazuje kilku chłopców w szerokich, skautowego kroju kapeluszach i z długimi kijami obieżyświatów jak forsują leśną rzeczkę przez zrobiony przez siebie linowy most (kto dziś potrafiłby taki most zrobić?).

Lata wojny przyniosły drużynie pierwsze straty. Starsi chłopcy zaciągali się do wojska i ginęli na froncie. Po odzyskaniu niepodległości, po okresie euforii i entuzjazmu harcerstwo, w tym także „Szesnastka", która ten numer nosi od 1916 r. przeżywało kryzys. Harcerze nie bardzo potrafili odnaleźć się w nowych, pokojowych czasach. Zabrakło szarż, czyli instruktorów, i programu działania, potrzebna była nowa metodyka pracy z młodzieżą. Komenda Chorągwi ze względu na słabość „16" rozważała nawet decyzję o rozwiązaniu drużyny.

POD OPIEKĄ ZYGA

Przyszedł jednak rok przełomowy 1924. Dziś wie o tym każdy Zawiszak. Na obozie pojawił się wówczas z wizytacją Zygmunt Wierzbowski, „Zyg", jak go nazywają. Zrezygnował z pracy w Komendzie Chorągwi i postanowił wyprowadzić drużynę z impasu. Chłopcy rwali się do działania, potrzebowali mądrego kierownictwa. Zyg dał im możliwość przeżycia prawdziwie męskiej przygody. Wprowadził dyscyplinę graniczącą z rygorem, ale to nie tyle poskromiło energię chłopców, ile wyzwoliło w nich inwencję, potrzebę zdrowej rywalizacji o miano najsprawniejszego zastępu. Z perspektywy kilkudziesięciu lat widać, że to, co było zawsze mocną stroną „Szesnastki", powstało właśnie wtedy, gdy Zyg był drużynowym. A więc specyficzne obyczaje i formy pracy, tradycyjne imprezy. Wciągnięto w życie drużyny rodziców. Już w 1924 r. powstaje Koło Przyjaciół Harcerzy. To właśnie matki z KPH uszyły pierwsze jednolitego kroju mundurki Zawiszaków. Także dzięki rodzicom na pierwszym po I wojnie światowej obozie letnim w 1925 r. otrzymali sztandar. Jednocześnie wokół drużyny grupuje się coraz więcej dawnych harcerzy z 16 WDH, także starszych członków drużyny. Stworzą kiedyś Koło Zawiszaków. Na razie odwiedzają ich na obozach, są na zbiórkach. Chętnie służą radą, strofują i krytykują, ale przekazują wiele tajników dobrej pionierki, uczą piosenek, przypominają najważniejsze wydarzenia z historii drużyny.

GÓRALSKIE KOSTKI I ŁOWICKA KRAJKA

Z historycznym już obozem w Białce koło Bukowiny Tatrzańskiej wiąże się jedna z legend „Szesnastki": historia góralskich „kostek". Noszą je do dziś na swoich czapkach. Skąd się wziął ten regionalny akcent? Podobno w podzięce za uratowanie tonącego dziecka, jakiś góral w spontanicznym geście zdjął ze swojego kapelusza sznur kościanych paciorków i włożył je na czapkę harcerza. I odtąd kostki na czerwonym otoku stały się wyróżnikiem 16 WDH. Inna wersja legendy głosi, że kostki były formą nagrody za pomoc harcerzy w ugaszeniu pożaru. Jak to naprawdę było, nie wiadomo, lecz być może sam Zygmunt Wierzbowski nie chciałby wyjaśniać tego do końca. Każde pokolenie Zawiszaków wybiera dla siebie swą własną wersję i ona rozpala ich wyobraźnię. Zamiast chustki w „Szesnastce" nosi się oryginalną krajkę łowicką o pięknym zestawie kolorów: zielonego, pomarańczowego i czerwonego. Naczelnictwo zaakceptowało tę innowację w regulaminowym stroju. Od tej pory schludność i jednolitość umundurowania to punkt honoru drużyny.

ZŁOTE LATA HARCOWANIA

Lata trzydzieste aż do wybuchu wojny to okres szczególnie świetny w dziejach „Szesnastki". Wyrasta wielu dobrych instruktorów, którzy w swojej drużynie przeszli wszystkie szczeble harcerskiej służby, od zastępowego, przybocznego na drużynowym kończąc. Do tradycji należą samodzielne obozy letnie w różnych regionach kraju, z czasem także zimowe, narciarskie. Relacje z tych obozów zamieszczano w pisemku „Sulimczyk" (nazwa od „Sulimy", herbu Zawiszy Czarnego), które ukazywało się aż do 1939 r. regularnie co dwa tygodnie. Opisywano w nim ćwiczenia pionierki obozowej, czyli ich własny sposób budowy prycz, półek na plecaki, ustawiania wysokiego, niekiedy z dwóch sosnowych pni masztu, ozdobnej bramki itd. Były zabawne relacje z wypraw do innych obozów po proporce, z nocnych ćwiczeń i rajdów, także ze społecznych prac dla okolicznych osad. Pomoc przy żniwach, porady lekarskie, ambulatoryjne były czymś codziennym na ich obozach.

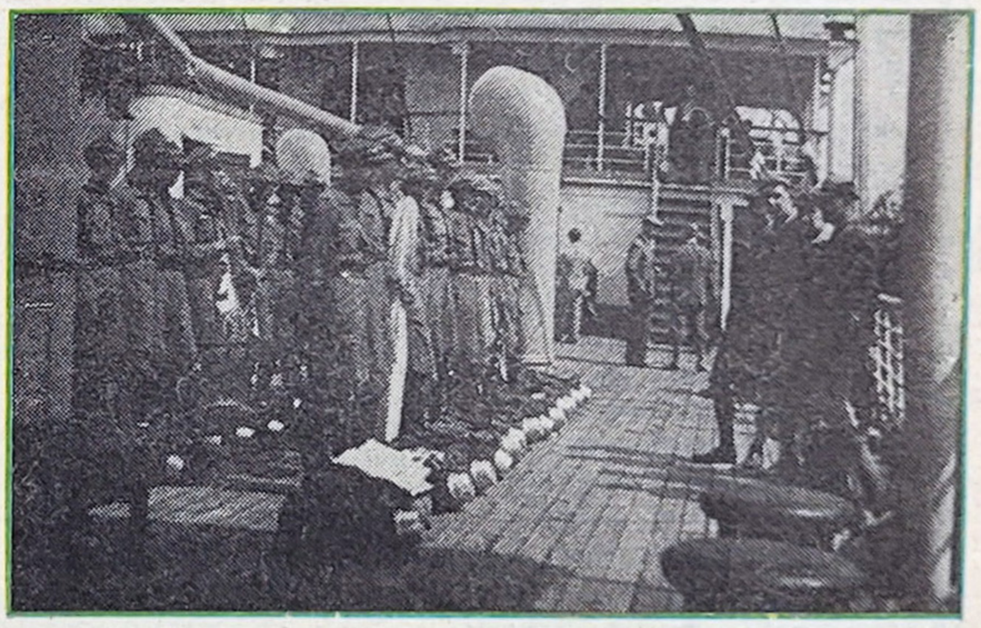

„Bardzo dobra drużyna Rzeczpospolitej" brała udział w latach trzydziestych w licznych międzynarodowych Zlotach np. na Węgrzech i na Łotwie. Na zdjęciu zbiórka na statku wiozącym Szesnastkę do Danii i Szwecji. W równo ułożonych plecakach uderza jeden detal: menażki przytroczone do górnej części plecaków. To też „wynaleźli" Zawiszacy. Jak bardzo było to rozwiązanie praktyczne osądzić może ten, któremu podczas wędrówki menażka czy też kubek obtłukuje biodro lub pośladki

Fot. archiwum 16 WDH

W 1914 r. Zawiszacy mieli już mundury (charakterystyczne skautowe kapelusze i długie kije), a na pierwszych kursach uczyli się takich właśnie akrobacji: przechodzenie przez rzekę po moście linowym własnej konstrukcji

CZAS PRÓBY

Ten ciąg wspaniałych letnich wypraw przerwał wybuch wojny. W okupowanej Warszawie Niemcy zawiesili działalność szkół średnich. Zawiszacy nie mogli już spotykać się w swojej dawnej „budzie". Nie zaprzestali jednak działalności. I znów jak w czasach zaborów zeszli do podziemia. Istniała drużyna złożona z kilku zastępów, ale nigdy, ze względów bezpieczeństwa, nie spotykała się w całości. Kilkuosobowe zastępy brały udział w akcjach małego sabotażu (np. ściąganie hitlerowskich flag z gmachów publicznych), wywiadowczych, rozpoznawczych. Zastępami chłopcy wyjeżdżali na harcerskie kolonie letnie w okolice Warszawy. 16 WDH działała więc na początku samodzielnie. Dopiero na parę miesięcy przed wybuchem powstania przyłączyła się do Szarych Szeregów i otrzymała konspiracyjny przydomek „Rój Zawiszy". Powstanie rozłączyło zastępy, rozrzuciło je w różnych punktach miasta. Zginął drużynowy Michał Woynicz-Sianożęcki, w egzekucji rozstrzelano oddział powstańców przedzierających się z Warszawy do Pęcic, a wśród nich 15-letniego zastępowego Michała Dowbora. Jeden z zastępów służył w Harcerskiej Poczcie Polowej i znalazł się w murach swego dawnego gimnazjum w budynku na ul. Noakowskiego. Gdy budynek ostrzelała niemiecka artyleria, zginęli dwaj harcerze „Szesnastki". Dziś nazwiska Zawiszaków poległych w czasie drugiej wojny widnieją na tablicy wmurowanej w kościele św. Jacka przy ulicy Freta. Zamknął się trzydziestoparoletni okres działalności 16 WDH.

Tuż przed wojną i w czasie okupacji wyrosło w drużynie wielu wybitnych harcerzy. Powstanie stało się dla nich okresem próby. Po wojnie weszli w swoje dorosłe, zawodowe życie, lecz nie zerwali zupełnie kontaktu z drużyną. Wśród wychowanków drużyny są wybitni przedstawiciele różnych profesji. Aktor Jerzy Duszyński grywał w drużynie na fanfarze, pisarz Kazimierz Koźniewski był redaktorem „Sulimczyka" i powojennym drużynowym, podobnie jak reżyser teatralny Zbigniew Stolc i reżyser-dokumentalista Włodzimierz Dusiewicz. Z „Szesnastki" wywodzą się: publicysta sportowy Bohdan Tomaszewski, pisarz Stanisław Zieliński i wielu jeszcze innych ludzi nauki, kultury i techniki.

O powojennych losach 16 WDH oraz o tym, czym szczep Zawiszaków zajmuje się dzisiaj – w następnym numerze.

BOŻENA CZAJKA

LA CORUNA I VIGO CZEKAJĄ NA POLSKICH PIŁKARZY

Oczy na „Porto Cobe”

„Porto Cobe” – to nazwa, znana dziś jeszcze nielicznym sympatykom sportu, będzie za miesiąc głośna w całym kraju. Tak zwie się bowiem mały hotelik na przedmieściach La Coruny, leżący nad atlantycką plażą. Tu właśnie 10 czerwca zamieszkają polscy piłkarze, tu odpoczywać będą i trenować podczas pierwszej fazy finałów mistrzostw świata.

W Galicji, jak... na Mazowszu

Od losowania finałów „Espana-82”, które w połowie stycznia odbyło się w Madrycie, zależało nie tylko to, z którymi rywalami zmierzą się Polacy, ale także rejon Hiszpanii, w jakim rozgrywane będą mecze biało-czerwonych. Ten drugi fakt, pozornie błahy, ma jednak wielkie znaczenie. Hiszpania jest krajem o znacznej powierzchni i związanych z tym różnic klimatycznych.

Na południu, w Sevilli, Maladze, Elche, Alicante czy Valencji, panują w czerwcu upały. Żar leje się z nieba przez kilkanaście godzin dziennie, a nocą też trudno oddychać. Taki klimat ma niezaprzeczalne walory turystyczne, ale dla piłkarzy, których czeka w Hiszpanii ciężka praca, temperatura przekraczająca 40 stopni w cieniu, wilgotne, gorące powietrze, nie wpływają korzystnie na samopoczucie i kondycję. Polacy wylosowali grupę pierwszą, której mecze rozgrywane będą w Galicji, czyli w północno-zachodnim rejonie Hiszpanii. Jest to najchłodniejsza kraina Półwyspu Pirenejskiego, a klimat tam panujący latem przypomina nasz swojski, mazowiecki... Galicja leży nad wybrzeżem Oceanu Atlantyckiego. Chłodne wiatry, które wieją tu czasem z dużą siłą, pędząc znad oceanu wilgotne powietrze, nie docierają w głąb kraju, ale decydują o klimacie tej krainy. I chociaż Hiszpania kojarzy się nam z palącym skwarem, śródziemnomorską roślinnością i cytrusowymi owocami, krajobraz i klimat Galicji jest inny. Zamiast palm rosną brzozy, zamiast cytrusowych gajów – zielone, liściaste lasy. latem temperatura rzadko przekracza tu 25 stopni, często pada deszcz, choć równie często świeci słońce. Dla polskich piłkarzy, jak też innych drużyn ze strefy umiarkowanej, Galicja jest więc wymarzonym miejscem do pobytu i rozgrywania spotkań. Szczęście nam dopisało. Innym nie. Piłkarze Szkocji czy ZSRR – na przykład – grać będą na południowym skraju półwyspu, tam gdzie najgoręcej, w Sevilli i Maladze...

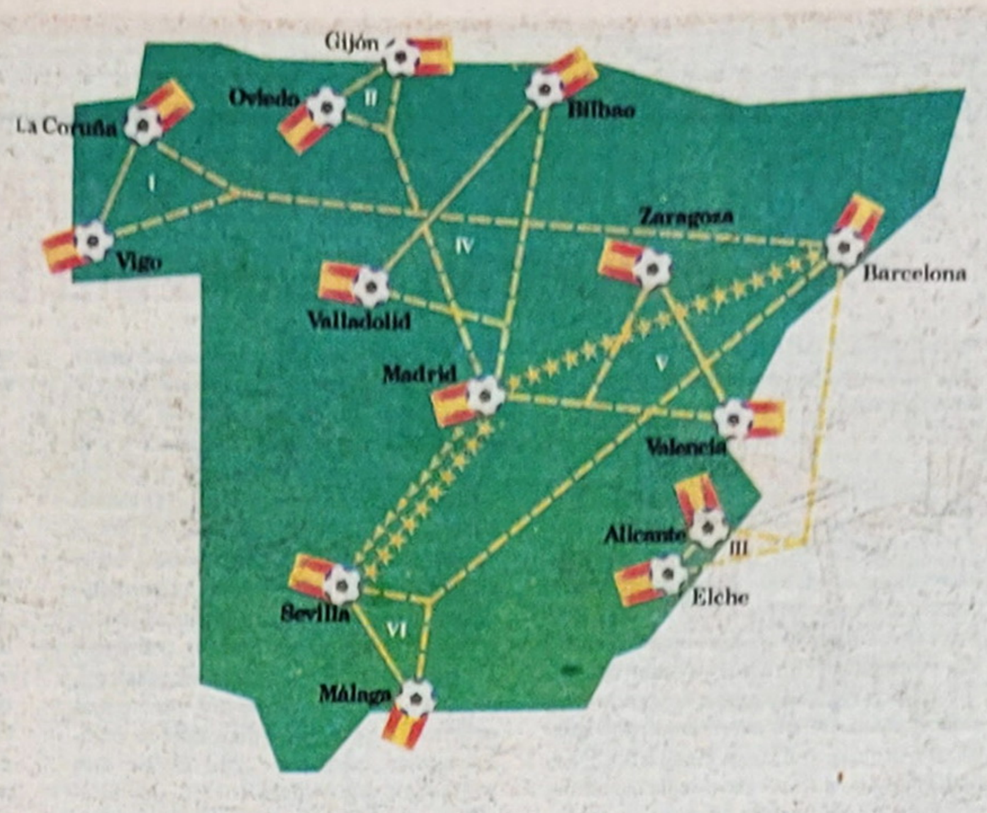

Mundialowa mapa. Linie przerywane oznaczają drogę wojaży zespołów, które awansują do dalszych rozgrywek. Prowadzą one do Barcelony i Madrytu. Tam odbędzie się druga runda z udziałem mistrzów i wicemistrzów wszystkich grup. Jak wynika z mapy jeden z półfinałów rozegrany zostanie w Barcelonie, drugi zaś w Sevilli (linia ze strzałek), a finał imprezy – w Madrycie (linie „gwiazdkowe”)

Jak „Sonne Post”?

Mały pensjonat „Sonne Post” w Murrhardt koło Stuttgartu przyniósł szczęście reprezentacji Polski w 1974 roku. Tam mieszkali nasi piłkarze podczas owych pamiętnych mistrzostw świata, w których zdobyli trzecie miejsce. Hotel „Porto Cobe” przypomina tamten. Jest niewielki, kameralny, liczy zaledwie 100 miejsc i w całości wynajęty został dla naszej drużyny. Położony w dzielnicy zwanej Santa Cruz, oddalony jest od centrum miasta o 10 km. Z okien widać ocean, który w tym miejscu, ograniczony zatoczką Cobe, jest spokojniejszy niż na otwartym wybrzeżu. Hotel posiada basen i saunę, wygodne dwuosobowe pokoje, luksusową restaurację, a także sale recepcyjne, potrzebne do odpraw taktycznych czy innych teoretycznych zajęć zawodników. Obok jest boisko treningowe.

Spokój, separacja od kibiców i turystów, warunki do odnowy biologicznej i treningu, a także relaksu – te wszystkie wymogi spełnia „Porto Cobe”. Dodatkowym atutem kwatery jest jej niewielka odległość od stadionu „Riazor”, na którym Polacy rozegrają dwa mecze – z Kamerunem (19 czerwca) i Peru (22 czerwca). Pierwsze spotkanie mistrzostw z Włochami (14 czerwca) Polacy odbędą w Vigo, na stadionie „Balaidos”. Vigo leży o 120 km od La Coruny i jest miastem mniejszym, liczy niespełna 200 tys. mieszkańców. Podróż autokarem z „Porto Cobe” do Vigo trwa około 2,5 godziny. Niewiele, ale trener Antoni Piechniczek zamierza udać się tam już dzień wcześniej i noc przed meczem z Włochami spędzić z piłkarzami w Vigo.

Kilka słów o obu stadionach. Mniejsze Vigo ma stadion znacznie większy. Trybuny „Balaidos” mieszczą 50 tys. widzów, a stadion „Riazor” o połowę mniej. Obydwa zostały zmodernizowane i przystosowane do rozgrywania (i obsługi dziennikarskiej, radiowej i telewizyjnej) spotkań najwyższej rangi.

Już czekają

Polacy rzadko goszczą w Galicji, gdyż kraina ta nie leży na szlaku turystycznych wojaży. La Coruna jest miastem atrakcyjnym, ciekawym i bogatym w zabytki, ale przede wszystkim portem i ośrodkiem przetwórstwa rybnego. Także Vigo posiada mniejsze walory turystyczne od miast i rejonów południowej czy wschodniej Hiszpanii. Dla piłkarzy to jednak atut. Nasi reprezentanci liczyć mogą na gorące i serdeczne przyjęcie. Lokalne komitety organizacyjne mistrzostw świata w La Coruna i Vigo przygotowują się niezwykle starannie do przyjęcia piłkarzy Polski, Włoch, Peru i Kamerunu. Planuje się zorganizowanie w tych miastach specjalnych ekspozycji i wystaw poświęconych Polsce i trzem innym krajom. Zespoły piłkarskie z Vigo czy La Coruny nie są krajowymi potentatami, a Galicja nie odgrywa na hiszpańskim rynku piłkarskim tej roli, co Madryt ze słynnymi klubami „Real” czy „Atletico”, Barcelona – z FC „Barceloną” i „Espanolem”, czy Valencja z FC „Valencią”. Może właśnie dlatego miejscowi działacze stają na głowie, by udowodnić, że potrafią zorganizować wielką piłkarską imprezę nie gorzej, a może lepiej niż inni. Już są gotowi i czekają na zawodników.

Najbliższymi sąsiadami Polaków będą Peruwiańczycy, którzy za miejsce pobytu wybrali pensjonat „Pasa Marines”, oddalony o 22 km od La Coruny. Reprezentacja Kamerunu gościć będzie w stolicy Galicji – Santiago de Campostella, w połowie drogi między Vigo, a La Coruna. Włosi natomiast, którzy wszystkie trzy mecze rozgrywać będą w Vigo, zamieszkają w miasteczku Pontevedra, w hotelu „Cosa du Baron”, 20 km od Vigo. 22 czerwca wiadomo już będzie, które z czterech drużyn grupy I awansują dalej, a które wracać muszą do kraju. Dwaj zwycięzcy opuszczą też Galicję i odlecą samolotem na przeciwległy kraniec Hiszpanii, do Barcelony. Tam bowiem rozgrywana będzie druga faza „Espany-82” z udziałem zespołów grupy I, III i VI. Czy Barcelona zobaczy polskich piłkarzy? Szanse są duże.

TOMASZ TRZCIŃSKI

m/s „GRYF POMORSKI”

PRZEMYSŁOWA BAZA PRZETWÓRNIA (B-67)

7 kwietnia 1965 r. położono stępkę pod nowoczesny statek dla przedsiębiorstwa „Dalekomorskie Bazy Rybackie” w Szczecinie. Jednostka B-67 jest pływającą fabryką. Sama ryb nie łowi. Towarzyszy rybackiej flotylli na łowiska przejmując od niej połów a do tego celu służy specjalna pochylnia na rufie zwana również slipem. Na pokładzie bazy znajduje się 6 zautomatyzowanych linii zdolnych w ciągu doby przerobić 200 ton dorsza, karmazyna i makreli na filety. Fabryka mączki rybnej przetwarza w ciągu doby 100 ton surowca a tranownia ok. 5 ton. W 5 chłodzonych ładowniach mieści się przeszło 10 000 metrów sześciennych przetworzonych ryb.

Statek może przebywać na łowiskach 80 dni a jego zasięg pływania – 6 000 mil morskich – wystarcza na pokonanie odległości z portu macierzystego na wody Labradoru i z powrotem. Na B-67 znajdują się warsztaty naprawcze, szpital, ambulatorium i kino służące załogom flotylli łowczej. Projekt statku opracował zespół specjalistów pod kierownictwem mgr inż. Stanisława Paszkowskiego.. Polskie rybołówstwo otrzymało dwie przemysłowe bazy przetwórnie B-67.

W dniu wodowania 5 marca 1966 r. pierwszej jednostce nadano imię „Gryf Pomorski”. Do eksploatacji oddano ją 31 grudnia 1966 r.

Długość całkowita m/s „Gryf Pomorski” wynosi – 164 m, szerokość – 21,30, zanurzenie – 7,80 m, nośność – 9600 DWT, pojemność – 13 600 BRT. Moc silnika głównego – 7 200 KM. Prędkość – 15,5 węzła. Załoga – 261 osób.

Fot. **Wiesława Mroczek**

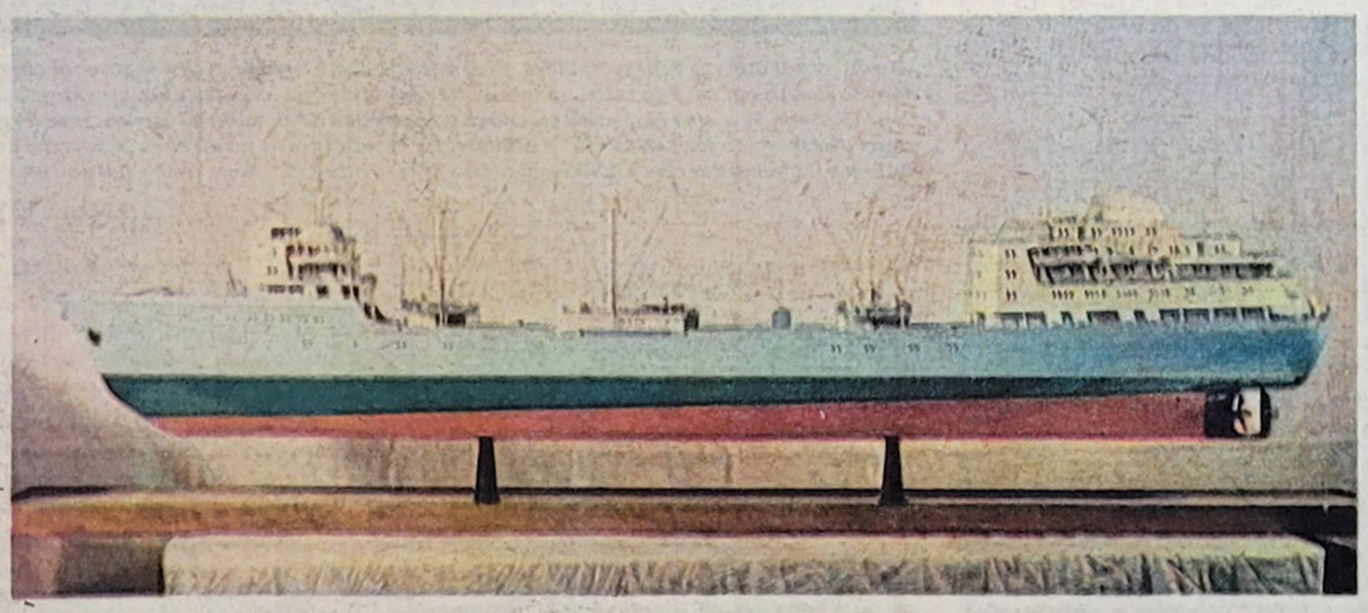

KUPON KONKURSOWY WYTNIJ ZACHOWAJ 16

OD „SOŁDKA” DO „DARU MŁODZIEŻY”

UCZNIOWIE BUDOWLANKI PODPORĄ „MŁAWIANKI”

MŁAWA (HSI). W międzyzakładowym klubie sportowym „Mławianka” trenuje przeszło setka piłkarzy. Oprócz drużyny seniorów – juniorzy i trampkarze. Prawie wszyscy piłkarze to uczniowie bądź niedawni absolwenci Technikum Budowlanego im. Ludowego Wojska Polskiego. Trener Roman Kuczyński prowadzi w tej szkole od kilku lat zajęcia wychowania fizycznego. Niedawno utworzono w „budowlance” klasę z rozszerzonym programem tego przedmiotu.

Postawiono na piłkę nożną, bo chłopcy wyraźnie preferowali tę dyscyplinę sportu. Wzięto się do uczciwej pracy i efekty przyszły szybko. Cztery lata temu uczniowie Technikum Budowlanego z Mławy nieźle poczynali sobie w Pucharze Polski o nagrodę „Przeglądu Sportowego” i Telewizji Polskiej. Zdobyli zdecydowanie pierwsze miejsce w województwie ciechanowskim. Z kolei wyeliminowali z dalszych gier mistrzów województw olsztyńskiego i toruńskiego. W meczu decydującym o wejście do ćwierćfinałów spotkali się z uczniami z Gdyni. Pierwszy mecz „budowlanka” grała bez trenera, który z ważnych powodów rodzinnych nie mógł być obecny na spotkaniu. Brak było jakiejś koncepcji w grze i wiary we własne siły. Drużyna z Mławy mecz przegrała. Rewanż zakończył się wprawdzie remisem, ale to było za mało, by grać dalej.

Takie były początki. Dziś ci sami chłopcy tworzą trzon pierwszej drużyny „Mławianki”, która dobrze sobie poczyna w rozgrywkach ligi okręgowej. Jeśli chodzi o juniorów i trampkarzy, to w prawie stu procentach szybko podnoszą swoje umiejętności. Ciekawi jesteśmy, jak szkoła wypadnie w tegorocznej edycji Szkolnego Pucharu Polski? **(aug)**

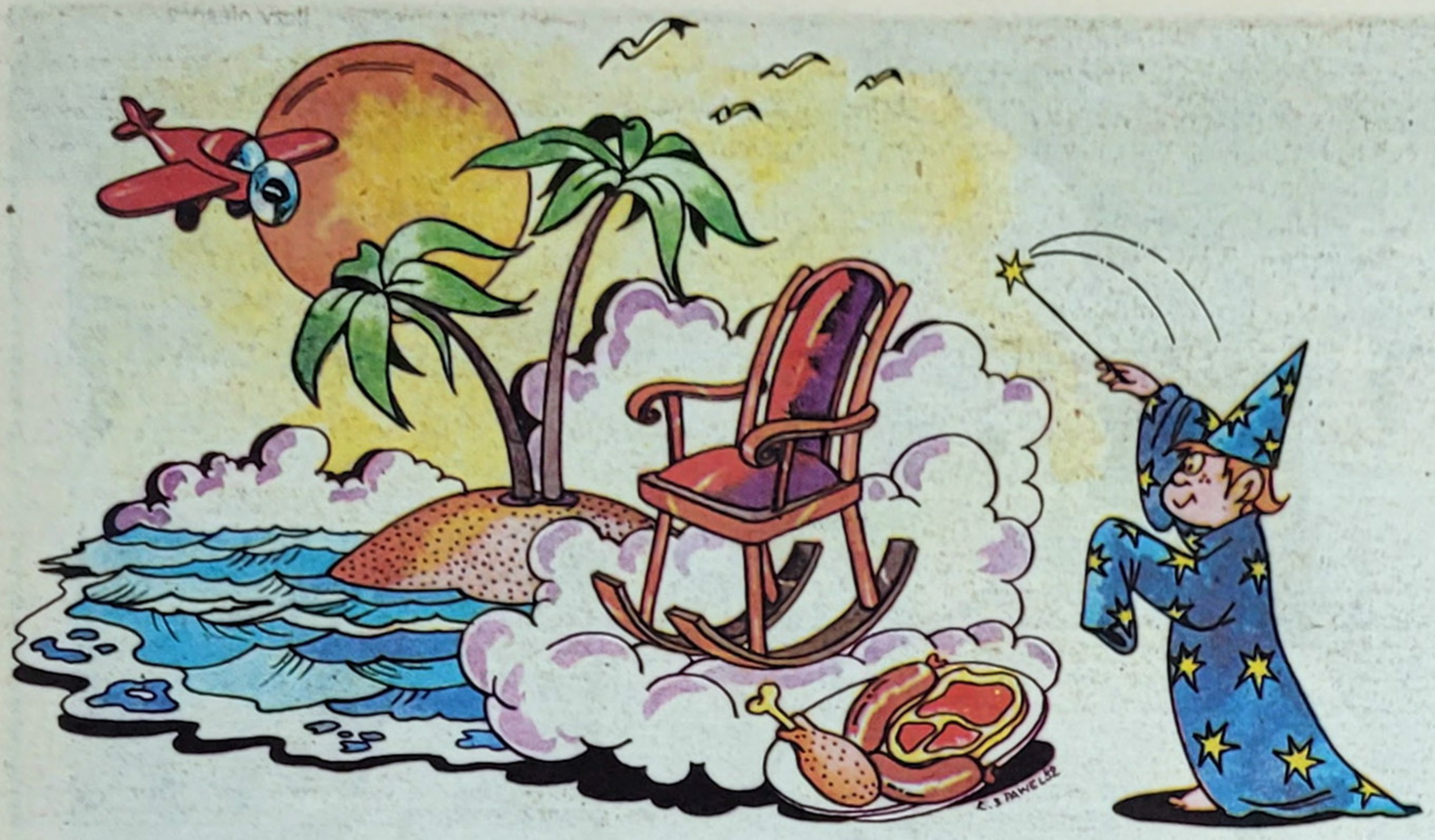

Spotkaliśmy się w wiejskiej szkole podstawowej w Bulowicach: uczniowie kilku klas i ja. Mówiliśmy o mamie. Każdy o swojej. Co jest w niej najwspanialszego? Co można by dla niej zrobić, gdyby się miało czarodziejską moc? A co robimy będąc po prostu samymi sobą?

DAŁABYM MAMIE SIŁĘ...

Renata S.: W mojej mamie najwspanialsza jest wytrwałość i cierpliwość do pracy na roli. Z własnego doświadczenia i obserwacji wiem, jak ciężka jest ta praca. Często wychodzę z mamą w pole, a pomagając, zarazem uczę się od niej wielu pożytecznych rzeczy. Bardzo bym chciała, aby mama była zawsze taka jak teraz: pełna silnej woli, opiekuńcza i troskliwa. Przeważnie mama troszczy się o to, żeby w domu było co jeść. Próbuje tak dobrać produkty na obiad, by wystarczyło nam na cały miesiąc. Bo moi rodzice kartek na żywność nie otrzymują, gdyż są rolnikami, więc na 5 osób mamy tylko 3 kilogramy.

Ela: W mojej mamusi najwspanialsze jest to, że gdy dostaję dwóję, ona się na mnie nie gniewa, lecz pociesza, że na przyszłość będzie lepiej. Gdybym miała nadprzyrodzoną moc, to bym sprawiła, że mamusia nie musiałaby ciężko pracować i miałaby dużo, dużo prawdziwej kawy, którą bardzo lubi, i wiele modnych ubrań.

Jacek: W mojej mamie najwspanialszy jest uśmiech. Gdy się śmieje, ma cztery zmarszczki na czole. I miłość w oczach do mnie i całej rodziny.

Krystyna: Mojej mamie można się zwierzyć z każdej tajemnicy bez obawy, że ją komuś zdradzi, z każdego kłopotu, mając pewność, że zawsze pomoże nam znaleźć z niego wyjście. Od najmłodszych lat wierzę jej bezgranicznie, gdyż nigdy jeszcze nie zostałam przez nią okłamana. Cenię ją i marzę o tym, aby w przyszłości, gdy też będę matką, być taką samą jak Ona – Przyjaciółką.

Renata W.: Najwspanialsze w mojej mamie jest to, że potrafi w milczeniu znosić swoje troski i nigdy nikomu się nie skarży. A gdy się na mnie pogniewa, potrafi przebaczyć i zapomnieć, choć czasem jest to dla niej bolesne.

Rafał: Najwspanialszą cechą mojej mamy jest uroda.

Piotr: Najwspanialsza w mojej mamie jest ogromna pracowitość. W całej naszej okolicy nie ma ludzi tak pracowitych jak ona. Gdy nawet jest chora czy coś jej dolega i tak zrobi co postanowiła, choćby się góry waliły. Gotuje pyszne obiady, a szczególnie grochówkę. Chociaż jest zaharowana w polu, bardzo dba o mnie i o siostrę. Jeśli miałbym nadludzką moc, to mama mogłaby siąść sobie w fotelu i odpoczywać za tyle lat ciężkiej pracy. Wymyśliłbym maszynę, która gotowałaby samodzielnie takie pyszne zupy jak mama i drugą, która sprzątałaby tak pięknie, aż by się szkliło i pachniało.

Gabriela: Najwspanialszą cechą mojej mamusi jest to, że bardzo się dla nas poświęca. Wszystkiego potrafi się wyrzec, abyśmy mieli dobrze. Nie umie się na nas gniewać. Zawsze pogodzi mnie z bratem, z którym mimo woli bardzo często się kłócę. Gdybym miała nadprzyrodzoną moc, sprawiłabym, aby mamusia pracowała w ogrodzie tylko dla przyjemności i aby nie musiała się denerwować. Pojechałabym z nią na wczasy bajkolotem do krainy bajki i opowieści, a później na wyspy holenderskie. Teraz, aby jej sprawić przyjemność, gram dla niej na skrzypcach.

Agata S.: Najwspanialsze w mojej mamie jest to, że ma bardzo dobre serce i wychowuje mnie tak, abym była dobra.

Agata W.: Podziwiam matkę za jej odwagę i wytrwałość. Jest bardzo kochana, gdy się śmieje i jest szczęśliwa, chociaż z mamą nigdy nie wiadomo, czy jest szczęśliwa, gdy się śmieje. Często wesołą miną stara się zatuszować swe zmartwienia. Mama ma dużo pracy w gospodarstwie, ale wydaje mi się, że właśnie wtedy, gdy karmi krowy, owce, kury, piele buraki czy też suszy siano, odczuwa prawdziwą radość. Taką ją znam i zapamiętam, bo to jest właśnie m o j a m a m a.

Halina: Mamy duże gospodarstwo i gdy przychodzi wiosna, mamusi wprost opadają ręce. A w żniwa wstaje o piątej, karmi zwierzynę domową, przez cały dzień pracuje w polu, wieczorem wraca zmęczona z potem na czole. Często też mamusia choruje. Gdybym umiała czynić cuda, chciałabym ją uzdrowić. Gdy mamusia była w szpitalu, w domu jakby pociemniało, tak bardzo było smutno. Najstarsza siostra starała się nam zastąpić mamę, ale tego nikt nie potrafi...

Ewa: Bardzo lubię, gdy mama jest w dobrym humorze. A ona jest wesoła, kiedy w naszym ogródku przed domem zaczynają kiełkować warzywa, kiedy kwitną drzewa i kiedy śpiewają ptaki, i kiedy mój mały braciszek ma jakąś śmieszną przygodę, i kiedy ja przynoszę dobry stopień ze szkoły. Właśnie dlatego, że tak kocham uśmiech mamy, staram się jej pomagać jak umiem.

Cécylia: Zniszczone ręce mojej mamy wykonują codziennie tyle pracy, że nie mieści się to w głowie. Te dobre stopnie, które przynoszę ze szkoły, to wszystko dla niej, aby była dumna ze swojej córki.

Roman: Mama jest dróżnikiem, pracuje na stacji kolejowej. Po trzeciej zmianie nieraz jedzie po zakupy, słaba, niewyspana. Gdybym był czarownikiem, zaraz bym jej odjął wszystkie smutki. Ten największy smutek jest wtedy, kiedy przychodzi z miasta z pustą siatką.

Lidka: Moja mamusia po skończonej pracy w zakładzie zamiast wracać do nas, godzinami stoi w kolejkach, abyśmy mieli co jeść. Następnie musi znaleźć czas na sadzenie ziemniaków, pielęgnację warzyw, sianie zboża, karmienie królików, kur, przygotowanie obiadu na następny dzień, kolacji itd. Matka stara się, aby nikt z nas nie musiał chodzić boso, chociaż sklep z obuwiem świeci pustkami. Coraz rzadziej mogę usiąść i spokojnie porozmawiać z mamą – jest wiecznie zagoniona, zapracowana, zmęczona. Gdybym była cudotwórcą, nie pozwoliłabym, aby zagonione matki nie miały czasu na odpoczynek, czasu dla swoich dzieci.

Barbara G.: Gdybym miała nadludzką moc, zmieniłabym świat otaczający mamę. Zawiozłabym ją na wspaniałą wyspę pełną kwiatów. Mogłaby pływać po błękitnym morzu wielkim statkiem i o nic się nie martwić. Teraz staram się jej pomagać na co dzień, chociaż mówi, że mam do wszystkiego lewe ręce.

Barbara O.: W dzisiejszych trudnych czasach mama musi odmówić sobie wielu przyjemności. Gdybym była wróżką, sprawiłabym, żeby i ona miała różne rozrywki na co dzień. Po przyjściu mamy z pracy robot wykonywałby za nią wszelkie domowe czynności, a ona w tym czasie mogłaby się ładnie ubrać, uczesać i pójść do teatru. A ponieważ od nas do teatru jest bardzo daleko, dałabym mamie mały samolocik, który by ją tam podrzucał.

Dorota: Pragnęłabym, aby mojej mamusi i wszystkim matkom w Polsce było lżej, żeby wreszcie w sklepach było pełno żywności, a mamusie mogły sobie odpocząć.

Kamil: Gdybym mógł, na poczekaniu wyczarowałbym mamie pyszny kotlet i soczystą szynkę, nie takie jak przydziałowe. Wtedy gotowanie sprawiałoby jej przyjemność. A na razie chociaż w części staram się jej zastąpić cudownego robota.

Agata Ł.: Gdybym miała nadprzyrodzoną moc, moja mamusia nie pracowałaby wcale. Uczyniłabym ją jeszcze piękniejszą. I dałabym jej siłę, żeby zmieniła świat na lepszy.

Krzysztof: Gdybym był czarodziejem, rozkazałbym, aby w najpiękniejszym zakątku świata stanął piękny dom, w otoczeniu wspaniałego ogrodu. Mama tylko wychodziłaby do niego oglądać piękne kwiaty. Sprawiłbym także, aby kochali ją wszyscy ludzie i wszystkie zwierzęta. Gdy dorosnę, mama nie będzie pracować. Tylko ja. Będę się nią opiekował, tak jak ona mną teraz.

Wypowiedzi zebrała EWA KOSIŃSKA
Rys. **Szarlota Pawel**

Nasza Mama... Nieraz sobie myślimy, choć bardzo Ją kochamy: jest taka zwyczajna, nie rozumie mnie, nie chce zrozumieć! Jak ja będę miała dzieci będę dla nich zupełnie inna!

Jak sobie to „inna" wyobrażają Wasze rówieśniczki Marta, Grażyna – przeczytajcie poniżej.

Jaką będę matką?

Marta, 15 lat

– Jaką będę, to się okaże, bo marzenia i życie wcale nie muszą się pokrywać. Ale chciałabym na pewno być **dobrą** matką. Troskliwą, serdeczną, bardzo kochającą i okazującą dzieciom uczucie. Chciałabym nie wybuchać gniewem, nie złościć się, nawet gdy coś ten gniew usprawiedliwia. Wiem, że to będzie trudne, bo jestem bardzo pobudliwa i wyrozumiałość dla innych przychodzi mi z trudem. Z wyrozumiałością wiąże się według mnie zaufanie. Bez tego nie ma prawdziwego domu; bez tego i bez miłości. Moi rodzice, ja i brat kochamy się i każdy w naszym domu czuje się bardzo „u siebie". Tak będzie i w moim własnym, dorosłym domu.

Jeśli będę miała córkę, będę z nią o wszystkim rozmawiała już wtedy, gdy będzie mała, żeby było to dla nas obu normalne, gdy ona będzie kilkunastoletnią dziewczyną i będzie miała swoje własne poważne sprawy. Będę starała się dużo wiedzieć o moim dziecku, ale nigdy nie będę wścibska ani natrętna. Będę je konsekwentnie wciągała w domowe sprawy – i te miłe, i kłopoty, bo tak, moim zdaniem, rodzina musi się wspierać. To nieprawda, że kilkunastoletni chłopak czy dziewczyna jest „za mały", żeby o wielu rzeczach wiedzieć, rozumieć i brać w nich udział. Nie będę też mojemu dziecku za bardzo wszystkiego ułatwiała!

Nie uważam, by konieczny był dystans między matką a dzieckiem. Można ułożyć sobie stosunki na stopie koleżeńskiej, ale trzeba mieć szacunek dla rodziców, bo w domu za dużo tego koleżeństwa być nie może.

Chciałabym wyrobić sobie u dziecka prawdziwy szacunek, ale biorący się nie z tego, że matka więc „trzeba" czy „wypada", ale z tego, że to taki człowiek, którego jest za co szanować.

Jeszcze jedna bardzo ważna rzecz to tolerancyjność. W mojej rodzinie każdy ma swoje miejsce i wszyscy muszą być dla siebie tolerancyjni. Np. moja mama jest lubiana, ma dużo przyjaciół, bo jest w niej coś, co ludzi przyciąga. Ona też lubi ludzi, zawsze jest chętna do pomocy i nie bierze nikomu za złe, nawet gdy jest wobec niej nielojalny. Jest wesoła i optymistycznie nastawiona do życia. To wszystko uważam za bardzo ważne, bo w domu jest wesoło, swobodnie i to ludzi przyciąga. To wszystko chcę odtworzyć w swoim domu i w sobie.

Poza tym – w naszym domu jest miłość. Bez tego nie można utrzymać rodziny; to nie będzie rodzina!

Moja mama jest szczęśliwa i dlatego jest taka, jaka jest. I ja chciałabym być szczęśliwa, wtedy wszystko samo ułoży się „na różowo".

Grażyna, 13 lat

– Będę się uczyć, żeby mieć ciekawy zawód, pracę i znać się na wielu rzeczach. Gdy mnie dziecko o coś zapyta, muszę jak najwięcej wiedzieć. Chciałabym mu nawet imponować – uważam, że to bardzo dobrze. Będę też o siebie dbała, żebym była szczupła i elegancka.

Ale to nie jest najważniejsze. Przede wszystkim moje dziecko musi mieć prawdziwy dom, a nie mieszkanie, z którego można wyjść i tydzień nie wracać. Powiedzą ci tylko „cześć", gdy się znów pojawisz...

Chcę być matką-przyjaciółką. Będziemy miały z córką (czy z synem) wspólny język. Będziemy sobie rozmawiać „na luzie", chodzić razem do kina, jeździć na wycieczki. Będę jej ufać. Postaram się zawsze rozumieć, co się z nią dzieje, co czuje, dlaczego jest wesoła, albo nieznośna, a nie – **wiedzieć** to, czego wcale nie ma. Nauczę się szanować jej tajemnice i sprawy. Nigdy nie będę się z nich wyśmiewać, ani robić tragedii z tego np., że dostała dwóję.

Ale będę też wymagała, by pomagała mi w domu (choć ja tego w moim domu nie robię), by miała stałe obowiązki. Wcale też nie mam zamiaru na wszystko jej pozwalać. Gdy będzie malutka, będę ją ciągle pieściła i całowała, ale gdy dorośnie, nie będę jej się za bardzo narzucała.

Fot. **archiwum**

GWIAZDOZBIÓR

Sophie Barjac w „ALICJI"

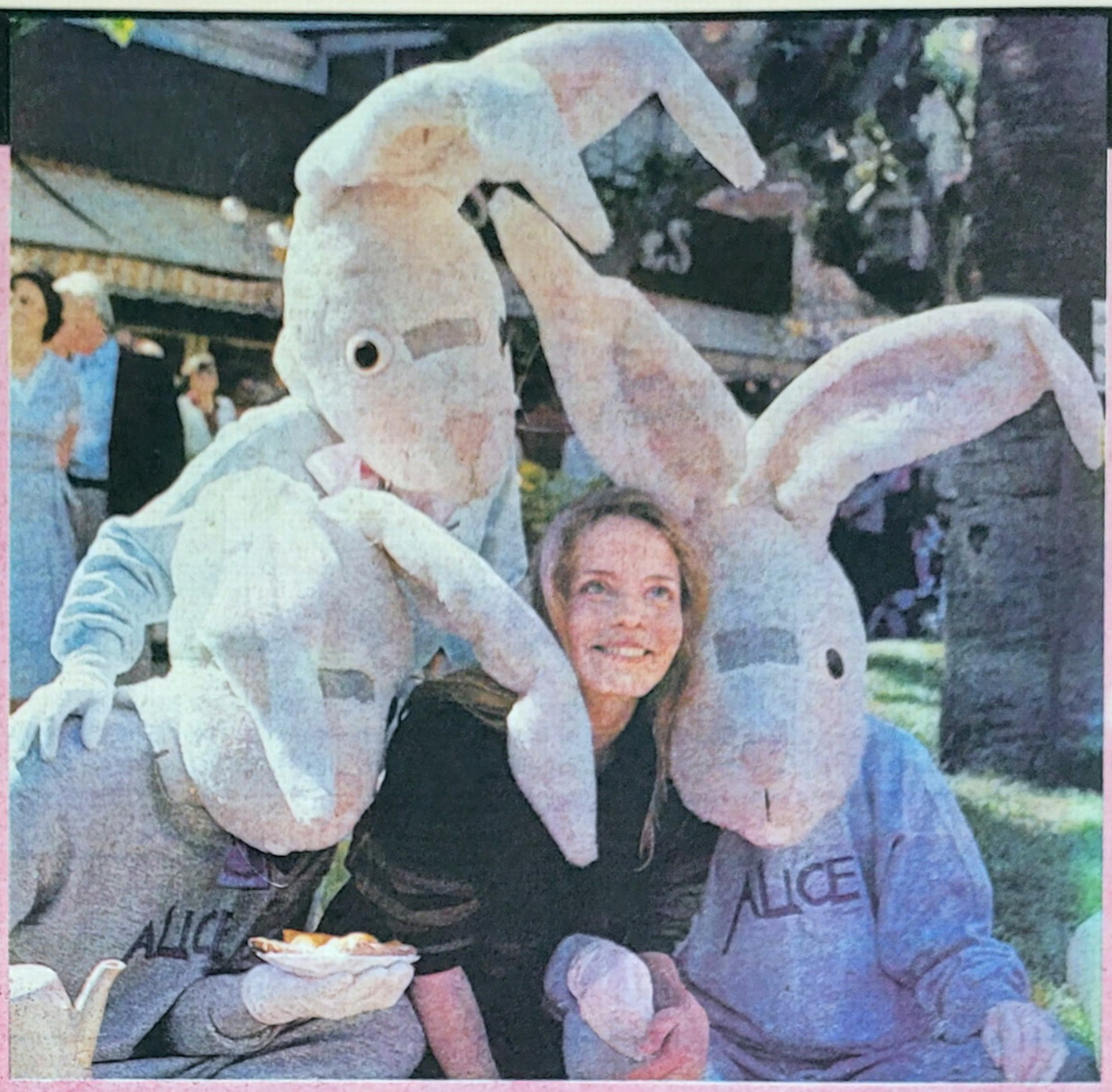

Przede wszystkim zastrzegam się, że czynię Sophie Barjac bohaterką rubryki wyłącznie na specjalne życzenie czytelników. Ta śliczna, złotowłosa Francuzka grająca główną rolę w polsko-belgijsko-angielskim filmie „Alicja" jest bowiem bardzo młoda i nie ma żadnej przeszłości aktorskiej. Gwiazdą więc nie jest i po filmie Jacka Bromskiego i Jerzego Gruzy jeszcze nią nie zostanie. Wiadomości na jej temat są skąpe. Urodziła się w 1957 roku w miejscowości Burges. Jako modelka więcej wspólnego miała dotąd z aparatem fotograficznym niż z kamerą.

W czasie kręcenia zdjęć w Polsce udzieliła wywiadu i wystąpiła w telewizji wraz z innymi aktorami z międzynarodowej obsady filmu. Ale jej wypowiedź nie wnosi niczego nowego, do tego co o niej wiemy. Mimo wszystko cytuję:

– *Już od dawna chciałam wystąpić w musicalu, więc kiedy pojawiła się taka możliwość, natychmiast z niej skorzystałam. Na planie posługiwałam się językiem angielskim. Chociaż moja rola jest dubbingowana uważam to za swój sukces. Cennym doświadczeniem była dla mnie praca z Jean-Pierre Casselem, spotkania z takimi ludźmi dają bardzo wiele. Sam film wydaje mi się bardzo interesujący, a nawet wręcz ekscytujący ponieważ wszystko w nim jest wielką niespodzianką".*

Cóż można dodać? Jej rola wypadła nieźle. Sophie nieźle tańczy i z każdą następną sceną filmu wygląda ładniej. Jest oczywiście doskonale ubrana. Trzeba pamiętać jednak, że sukces w dużej mierze odniosła dzięki pięknym piosenkom, do których użyczyła jej głosu popularna włoska młodzieżowa piosenkarka – Lulu. Początkowo planowano, by piosenki te śpiewała Kate Bush lub Suzie Quatro. Charakterystyczny głos Lulu lepiej jednak pasował do powierzchowności Alicji.

„Alicja" nie jest adaptacją słynnej książki Lewisa Carolla, która, jak pamiętacie, złożona jest z dwóch warstw – dla dzieci i dla bardzo, bardzo dorosłych. Ten film powstał jedynie z inspiracji i zafascynowania obu reżyserów „Alicją w krainie czarów". Jego bohaterka jest dorosła i ma „dorosłe" problemy. Dlatego nieporozumieniem wydaje mi się dopuszczenie do rozpowszechniania go w Polsce dla widzów od 12 lat. Ogląda więc go młodzież młodsza i jest rozczarowana. Wielu dwunasto-, trzynastolatków po prostu nudzi jego konstrukcja z sennego marzenia i romansowe perypetie bohaterki. Za to dobre wrażenie na wszystkich widzach, bez względu na wiek, robi muzyka. Jej autorem jest Henri Seroca – kompozytor belgijski pochodzenia polskiego. Prezentuje utwory bardzo zróżnicowane: reggae, country and western, disco, a także muzykę klasyczną. O ile wiem, powstała już płyta z nagraniami z „Alicji". Myślę, że może podobać się znacznie szerszej publiczności niż sam film.

EWA BIELSKA
Fot. **Jerzy Kośnik**

SKRZYNKA KONTAKTOWA

Anna Lassota, ul. Racławicka 150/70, 02-117 Warszawa – oferuje fotosy aktorów, piosenkarzy, zespołów, oraz „Tygrysy" za numery „ŚM" z dn. 8.XII.79, 15.XII.79, 22.XII.79, 5.I.80, 12.I.80, 19.I.80, 26.I.80, 2.II.80, 9.II.80, 16.II.80, 23.II.80 i 1.I.81.

Joanna Stankiewicz, ul. Dąbrowszczaków 30-F/9, 80-364 Gdańsk Przymorze – poszukuje zdjęć, artykułów o Perrym Kingu, Elvisie Presley'u i „Aniołkach", w zamian proponuje inne tego typu informacje i zdjęcia.

Elżbieta Brodzińska, ul. Toruńska 56 m. 24, 03-226 Warszawa – poszukuje informacji o Dustinie Hoffmanie i o filmach, w których grał. W zamian odstąpi zdjęcia aktorów polskich i zagranicznych.

DOM MODY świata młodych

WSPOMNIENIE O... PRADZIADKU?!

Tydzień temu, pisząc o tzw. bluzkach koszulowych, napomykałam, że warto w celu zdobycia takowej sięgnąć po... koszulę taty. Dzisiejsza propozycja jest nieco trudniejsza, bo po koszulę pra, pra, pra, pradziadka sięgnąć chyba raczej nie da rady. Co prawda bowiem rzecz ta, o której dziś mowa, nazywa się – koszula dziadka (koszula dziadunia – tak też się mówi, bardziej to pieszczotliwe), ale takie koszule nosili panowie co najmniej kilka pokoleń wstecz. W gruncie rzeczy to też jest niby zwyczajna męska koszula, ale taka... bardziej staroświecka.

Właściwie, to ta staroświeckość przejawia się najmocniej w jednym tylko elemencie – zamiast kołnierzyka koszula ta wykończona jest (bywała wykończona) u góry czymś w rodzaju stójki. Wyższej, niższej, czasami wręcz płaska pliska to być może, ale nie kołnierzyk. Zapięcie na guziczki z przodu, ale nie musi być do samego dołu. Rękaw w wąski mankiet, również na guziczek zapinany. Może być karczek (i z przodu, i z tyłu, albo tylko z przodu, albo tylko z tyłu), na ogół wówczas dolna część koszuli do tego karczka jest przymarszczona. Lżej lub mocniej. Poły koszuli na dole zaokrąglone. No i jest to koszula luźna, obszerna wręcz. Jeśli nie będzie na człowieka dużo za luźna, to nie będzie to „koszula dziadka", ale całkiem inna bluzka. Stosunkowo długa być powinna, tzn. co najmniej do połowy bioder powinna sięgać. Materiał musi być w stylu swym absolutnie koszulowy, najbardziej stylowo wyglądają drobniuteńkie paseczki (wzdłuż oczywiście!). Nosi się takie „wspomnienie po pradziadku" przede wszystkim do spodni, na wierzch.

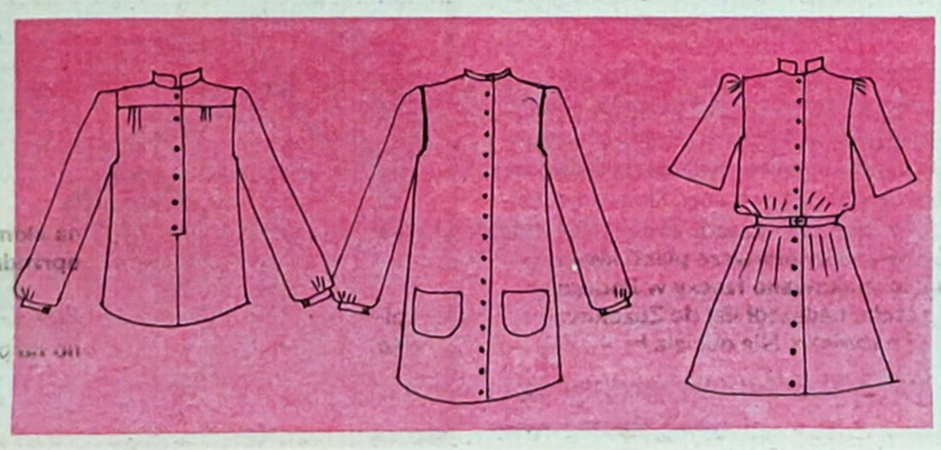

Ale można również inaczej. Jeśli jest dłuższa, to można ją nosić w charakterze sukienki. Krótkiej sukienki. Może być wówczas z nakładanymi kieszeniami. Jeśli będzie (taka dłuższa) uszyta bardzo szeroko, to można ją w talii ścisnąć bardzo mocno jakimś paskiem. Powstanie wtedy wówczas bardzo awangardowa mini-sukieneczka. A ponieważ od oryginału już się i tak mocno różni, to można przy okazji jeszcze co nieco więcej zmienić – np. rękawy, wcale nie długie koszulowe, ale przed łokieć i wszyte z tzw. główką czyli przymarszczone u góry. Właściwie taka sukienka, to już niemal w niczym koszuli dziadka nie przypomina, ale jednak od niej pochodzi. Więc można i tak.

Oczywiście to już jest tzw. wariacja nt. koszuli dziadunia. Może być ich zresztą więcej, bardzo różnych. Jeżeli chodzi o samą koszulę dziadunia, to kto będzie miał szczęście – może mu się uda kupić ją gotową, ale ponieważ jest to jeden z tzw. przebojów sezonu, nie będzie to łatwe. Można spróbować przerobić na nią współczesną męską koszulę – zwężając mankiety i zamiast kołnierzyka przyszywając plisko-stójkę. Zdarzają się poza tym w sklepach męskie... nocne koszule, a ponieważ nie jest to najbardziej popularny rodzaj męskiej bielizny, to chętnych do kupna nie ma zbyt wielu. A jest to właśnie coś w stylu „koszuli dziadka". Długiej, czyli do noszenia w charakterze sukienki. Byle tylko materiał był do przyjęcia, bo niestety najczęściej są one białe, a choć jest to stylowo zgrzebne (białe płótno po pół godziny noszenia wygląda jak „psu z gardła wyjęte"), to jednak mało praktyczne. Jeśli zaś ktoś będzie chciał (czy musiał) zabawić się we własnoręczne koszuli dziadka uszycie, to jest to w sumie szycie prostsze niż każdej innej rozpinanej bluzki: po pierwsze – nie ma kołnierzyka, po drugie – rzecz powinna być tak luźna, że żadnymi zaszewkami bawić się nie ma potrzeby, po trzecie – rękawy mogą być wszywane kimonowo (proste do prostego, bez żadnych podcinań).

No, a poza tym w końcu przecież nie każdy musi się obowiązkowo w koszulę dziadunia przyodziewać. Wszystko wskazuje, że rzeczywiście będzie to jeden z tzw. przebojów sezonu, ale nie znaczy to, że powinien to być... mundurek. No nie?!

RIUSZKA

KSIĘSTWO BARI W... GOŁU-CHOWIE

(PAP). Ostatni odcinek emitowanego w telewizji seryjnego dramatu „Królowa Bona" nakręconego przez Jerzego Majewskiego do scenariusza Haliny Auderskiej, rozgrywał się we włoskim księstwie Bari. Ekipa telewizyjnych filmowców nie wyjechała jednak na zdjęcia do Italii. Księstwo Bari, gdzie Bona Sforza spędziła ostatnie dni swojego dramatycznego życia, urządzono w... Gołuchowie, 22 km od Kalisza. Oglądane na ekranie telewizora komnaty, to wnętrze pięknego gołuchowskiego zamku. Mieści się w nim dziś muzeum wnętrz – oddział Muzeum Narodowego w Poznaniu.

Przy okazji warto przypomnieć dzieje tej pięknej budowli, zaliczanej do najcenniejszych zabytków architektonicznych w Wielkopolsce. Późnorenesansowy dwór obronny wzniesiony przez Rafała Leszczyńskiego około 1560 r. rozbudowany został na początku XVII w. przez wojewodę kaliskiego Wacława Leszczyńskiego. Na początku XIX w. został opuszczony i częściowo uległ ruinie. W połowie ubiegłego stulecia zamek kupił Tytus Działyński z Kórnika dla swego jedynego syna Jana Kantego. Później dobra gołuchowskie otrzymała Izabella Działyńska z Czartoryskich, córka Adama Czartoryskiego. Z jej to inicjatywy zamek przebudowano w stylu renesansu francuskiego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. W zamku tym Izabella Działyńska stworzyły prywatne muzeum, jedno z największych w Europie.

Przeniesiono do niego częściowo zbiory Czartoryskich z Hotelu Lambert w Paryżu i kolekcje waz greckich z Kórnika. Zbiory gołuchowskie zyskały światowy rozgłos. Podczas ostatniej wojny zostały zrabowane przez hitlerowców. Część ich łącznie z wazami została odnaleziona przez armię radziecką i zwrócona Polsce w 1956 r. Wazy greckie znajdują się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie. Uzupełnieniem pięknej architektury zamku gołuchowskiego jest otaczający go 170 ha park angielski z licznymi rzadkimi krajowymi i egzotycznymi gatunkami drzewostanu.

Wioletta Onuszko z Jarosławia nie zgadza się z tezą, że UFO to wytwór wyobraźni i ma dowody na istnienie tego zjawiska. Co więcej, Wioletta twierdzi, że istnieją na Ziemi ślady pobytu przybyszów z kosmosu. A są nimi np. niezwykłe rysunki na pustyni Nazca. Otóż o tych rysunkach pisaliśmy już w TOMIKU i wyjaśniliśmy sobie, że nie są one wytworem kosmitów. Jeszcze większą „bombę" ma dla nas Barbara Zięba ze Starachowic. Pisze ona, że w Portugalii, niejaki profesor Joachim Fernandez wszedł w posiadanie „małego Marsjanina" – jak nazwał milimetrowej wielkości żyjątko zaopatrzone w 10 maleńkich czółków zakończonych jakby trzypalcowymi łapkami. Ta sensacyjna wiadomość pozostała tajemnicą tylko ze względów... politycznych. Tak więc mamy uwierzyć na słowo, że rzeczywiście w Portugalii wylądował przybysz z kosmosu. Kochani, jesteście za duzi żeby wierzyć w podobne bajki.

PREZES

W witrynach księgarskich ukazały się ostatnio następujące trzy książki:

1) **„Trójkąt Bermudzki"** – Lecha Niekrasza
(sttr. 196, cena – 28 zł. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, wyd. II poprawione i uzupełnione). Autor przedstawia dość dokładnie zagadnienie dotyczące tajemniczych zniknięć w obrębie Trójkąta Bermudzkiego. Nie ogranicza się jednak tylko do niego, lecz rozpatruje także „tajemniczość" takich miejsc jak „Diabelskie Morze" położone na Pacyfiku w pobliżu Japonii, „Trójkąt Strachu" na Oceanie Indyjskim oraz dziewięć innych obszarów Ziemi. Przedstawia szereg przypadków zaginięć: załóg, statków, samolotów i rakiet, w tych właśnie rejonach od roku 1436 po czasy dzisiejsze. Książka jest w zasadzie jeszcze jedną publikacją dotyczącą dwunastu zagadkowych miejsc na naszym globie. Polecam ją głównie tym, których interesuje Atlantyda i UFO – tematy potraktowane tu dość szeroko. Końcowe rozdziały tej książki poświęcone są różnego rodzaju hipotezom (mniej lub bardziej realnym i zaskakującym) m. in. założenie, że odkryte w 1960 r. w pobliżu Bimini i Wysp Bahama ruiny to właśnie zatopiona Atlantyda, ziemskie pochodzenie UFO, pojawienie się „ludzi w czerni", problem dwunastej planety Sumerów itd. Autor zahacza też o takie ciekawostki jak znaleziony na dnie Morza Egejskiego „instrument" do namierzania się na gwiazdy oraz obliczania orbit planetarnych – przyrząd do nawigacji, akumulatory sprzed 2 tys. lat, mapa Piri Reisa, piramidy, latające maszyny i starohinduska „Mahabharata".
Jest to lektura dość „lekka", chwilami sensacyjna. Nie jest jednak moim zdaniem najlepszym dziełem tego gatunku.

2) **„Na początku był wodór"** – Hoimar von Ditfurth
(str. 446, cena – 65 zł. Państwowy Instytut Wydawniczy). Książka jest dość szeroko reklamowana. W zasadzie nie zawiera zbyt wiele astronomii. Polecam ją tym, których zajmuje chemia, biologia, genetyka. Moim zdaniem dyskusyjne jest gwałtowne przejście autora od pierwszych wielokomórkowców do człowieka. Raziła mnie także przy czytaniu rozwlekłość przedstawianych tematów i powtarzanie się autora. Zaskakujące było też dla mnie stwierdzenie że: „Prawdopodobnie nawet wnukowie nasi dożyją tego, że plany lotów kosmicznych zostaną zamrożone na osiągniętym wówczas etapie. Dokąd bowiem mieliby właściwie latać astronauci, gdy wewnętrzne i zewnętrzne planety naszego Słońca, aż do Plutona włącznie, będą już zbadane?" Zdaniem autora loty służyły dotychczas ludzkości jako „zajęcie" naszej uwagi czymś takim jak „kosmos", Idea podboju wszechświata przez załogowe loty jest absurdem! Tym samym ludzkość traci cel i zaczyna istnieć tylko dla samego istnienia (np. do momentu przejęcia „pałeczki" przez inne zwierzęta i wymarcia ludzkości), zamknięta po wieki na swym własnym globie. Poza tym wygląda na to, że nie potrafimy już nic wymyśleć aby przekroczyć tę barierę i tym samym zakładamy ograniczenie możliwości naszych umysłów. Książka jest dyskusyjna. Będzie na pewno ciekawą lekturą dla osób, które lubią zastanawiać się nad każdym przeczytanym zdaniem.

3) **„Powrót z gwiazd"** – Stanisław Lem
(str. 276, cena – 30 zł, Wydawnictwo Literackie Kraków). Jest to już piąte wydanie tej książki. Sądzę, że autora jak i jego utworu nie trzeba szczególnie przedstawiać. Interesująca lektura z gatunku s-f. Porusza problem lotu ku gwiazdom i zagadnienia związane z długością życia ludzkiego w stosunku do przemian zachodzących na Ziemi. Bardzo ciekawie przedstawiona jest postać głównego bohatera.
Życzę wszystkim miłej lektury.

Ewa Milczarek
czł. PTMA

TROCHĘ PESYMIZMU O UFO

Nawiązując do artykułu S. Stępniaka z 6 numeru „ŚM" i ja chciałbym omówić sprawę istot pozaziemskich.

Twierdzenie, że życie może powstać zawsze tam, gdzie ma ku temu warunki podbiło świat dopiero wtedy, gdy w zimnych, kosmicznych obłokach gazowo-pyłowych odkryto molekuły organiczne. Istoty, które zsyłały natchnienie na autorów powieści fantastyczno-naukowych, stały się poważną zagadką dla astronomów, fizyków i biologów. Wiele nadziei wlał w nasze serca na pewno, na konferencji w USA, niejaki Stephen Dole – amerykański astronom. Twierdził on, że na podstawie swych badań wyłonił liczbę cywilizacji na ok. 650 mln, na tyluż planetach. Z tego wynika, że na jedno słońce przypadałoby po dwie planety zamieszkałe. Później oczywiście pofolgowano temu twierdzeniu. Liczba cywilizacji nie opuszczała jednak 10 mln. Twierdzono, że jeśli wszechświat zbudowany jest z milionów galaktyk, to liczba cywilizacji powinna dochodzić do nieskończoności. Znalazł się jednak zimny prysznic, który spryskał głowy tych zapaleńców. A był nim astronom NASA Michael Hart. W świetle jego badań, procesy prowadzące do powstania istot inteligentnych na Ziemi były tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Niestety, ma na to dowody:

a) na podstawie odchyleń w ruchach gwiazd, stwierdzono obecność planet przy nich. I tą drogą ustalono, że co piąte słońce ma system planetarny,
b) prawie połowa gwiazd w Galaktyce tworzy większe, bądź mniejsze zespoły gwiazd krążących wokół siebie, gdzie warunki byłyby niestabilne dla życia,
c) to samo trzeba odnieść do planet obiegających słońca o ograniczonej emisji światła. Tego rodzaju gwiazd w Drodze Mlecznej jest ok. 5%
d) na planetach obiegających słońca, które zbyt szybko wypromieniowały swą energię życie, jeśli powstało, zostało stłumione w zarodku, gdyż potrzebuje ono dość długiego czasu do rozwoju
e) nie lepszy los spotkał planety przykute do słońc, które przeżywszy swą młodość stały się czerwonymi karłami
f) tylko 10–15% gwiazd Galaktyki ma budowę zbliżoną do Słońca, a więc tylko one mają szanse na swoje planety „życiodajne"
g) planeta musi posiadać masę wynoszącą 30–250% masy Ziemi, grawitacja musi wahać się od 20 do 150% ciążenia ziemskiego, a temperatury od 0–50°C, poza tym konieczna jest przewaga tlenu i pary wodnej w atmosferze, rotacja planety wokół pochylonej osi, co zapewnia występowanie dni i nocy oraz pór roku. Konieczne jest też występowania ozonu, aby ograniczyć promieniowanie kosmiczne.

Te wszystkie ograniczenia doprowadziły do tego, że najbliższego sąsiada należy się spodziewać dopiero w odległości 10 tys. lat świetlnych, co utwierdza w przekonaniu, że na 200 mln gwiazd tylko jedna jest zdolna posiadać jakiekolwiek życie. Jeśli jednak wziąć pod uwagę katastrofy ekologiczne, zmiany w gwiazdach macierzystych to... Hart nie jest znowu takim pesymistą, żeby tego nie zakończyć optymistycznie. Otóż odkryto niedawno, że jedna z gwiazd – Tau Wieloryba posiada cechy bliźniacze Słońcu, a więc 82% jego masy, oraz 3/4 energii jego promieniowania świetlnego. Ekosfera Tau jest wprawdzie ograniczona, ale...

Gdyby teraz wybierano między Hartem a Dole'em nie byłoby chyba podzielonych zdań.

Andrzej Prażmo
ul. Staszica 8/71
21-010 Łęczna

czasu do czasu, żeby zamienić parę słów. Zuzka zdjęła palto, rozgrzała się. Witek mógł zobaczyć, jak była ubrana, ale patrzył w tym momencie na jej stare palto, które przewiesił sobie przez ramię.

Biegli.

– Dobrze, co? – powiedział.

– Nie mamy nóg ludzi dorosłych.

– Nie mamy!

– Ich przyciąga ziemia gdy idą, a nas to wprost podrywa.

– Unosimy się, co?

– I klap w błoto! – zawołał.

Pośmieli się trochę i szli znowu przytuleni do siebie, a Zuzka musiała włożyć palto, bo tak jej kazał, choć nie było wiadome, czy zauważył jaką miała sukienkę.

– Napiszesz?

– A dlaczego nie ty? – wiedziała, że pisze ten, kto odjeżdża.

– Mam dużo lekcji i nie w głowie mi listy.

Nie przyznała się, ile ich spaliła w kominku.

Szczęście mieć czyjś adres – pomyślała i złagodniała w jednej chwili.

– Dam znać zaraz, gdy przyjadę.

Pożegnali się przy drodze skręcającej do Bączek. Nie mógł zostać dłużej, bo wyszedł z domu nie mówiąc dokąd, a był to przecież pierwszy dzień świąt.

– Nie zgub adresu – przypomniał trzymając jej rękę.

Włożyła kartkę do książki. Zauważył, że były to wiersze i uśmiechnął się. Może też lubił wiersze?

– Pan Witold był i poszedł – oznajmiła Ulinka otwierając drzwi. – Nie czekał, powiedział, że cię poszuka.

– Nieważne.

– Tak jest, gdy się leci w święta czort wie gdzie.

Święta były, prawda, i „pan" powiedziano o Witoldzie, o Witku. Wszystko dokoła śpiewało „Alleluja".

POŻEGNANIE

Minęła pora, gdy ptaki wcześnie się budziły. Od rana krzyczały z radości. Pachniały drzewa, oprószone kwiatami, szeleściło, śpiewało w trawach.

Jak ruchome zielone broszki pasikoniki siadały na sukienkach dziewczynek dla krótkiego odpoczynku. Jętki szkliły się nad łąką.

Świat był szczególnie piękny, odkąd Zuzka odzyskała podwójne widzenie. Sprawił to Witek – spotkanie i porozumienie. Patrzyła na wszystko jakby byli razem, jakby bezustannie jej towarzyszył. Żegnała Podłęże wiedząc, że w rzeczywistości razem tu nie wrócą.

Odchodziła już zresztą wczesna wiosna. Przycichły ptaki, na ziemię w sadzie spadły pierwsze płatki kwiatów.

W tym czasie spakowano rzeczy w Podłężu.

Nim to się stało, nadszedł list do Zuzanny. Wyraźnie wypisano jej imię i nazwisko. Nie odcięła brzegów koperty, jak to robił ojciec. Oderwała je nierówno. Może nawet w pośpiechu uszkodziła kartki.

Ale nie, wszystko było w porządku.

Przeczytała takie słowa:

„Zuzko moja mała, tęsknię do Ciebie i nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz. Wkuwam tymczasem, bo potem nie wiem jak będzie, ale czasu będę miał mniej. Miasto ci pokażę i będziemy łazić po parku i wszędzie.

Musisz się dowiedzieć, że ostatnia Wielkanoc była moim prawdziwym świętem na tej drodze od zagajnika. Napisz do mnie. Witold".

Zaczęła mu odpisywać. Pisała co dzień. Kartek przybywało, a żadnej nie wysłała. Nic w tych listach nie odpowiadało temu, co by mu chciała powiedzieć. Łatwiej bez pisania można się porozumieć – myślała. – Gdy się zobaczą, wystarczy niedużo. W ogóle mogą nie mówić.

Radość z listu Witka czytanego wieczorami łączyła się tymczasem ze smutkiem. Mimo że wkrótce miała go zobaczyć. Piekły ją oczy, dusiło w piersiach. Nie umiała niczego żegnać, a wyjazd z Podłęża stał się rzeczywistością.

Jeszcze noc stała za oknem, jak matka zapaliła lampę.

Wszyscy leżeli na słomie, nawet Krystyna, bo łóżka i inne meble były już poprzedniego dnia wysłane do pociągu na bagaż.

Ludzie z czworaków przynieśli płachty, kilimy, rozesłali pod nie słomę i zrobiono na podłodze wygodne posłania.

Zuzka źle spała tej nocy.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk (sekretarz redakcji), Barbara Skórska, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, Marek Zarębski (zastępca sekr. red.).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 2221/G. Z-36

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Uśmiech na koniec numeru

MŁODA STONOGA skarży się koleżance z klasy przez telefon, że kuleje na jedną z nóg.

– Na którą? – pyta stroskana koleżanka.

– Nie potrafię ci powiedzieć! Przecież wiesz, że umiemy liczyć dopiero do dziesięciu.

* * *

ZDENERWOWANY SZKOT telefonuje do lekarza:

– Doktorze, moja córka połknęła bardzo starą złotą monetę!

– Za chwilę tam będę, a ile ona ma lat?!

– Została wybita w 1684 roku!

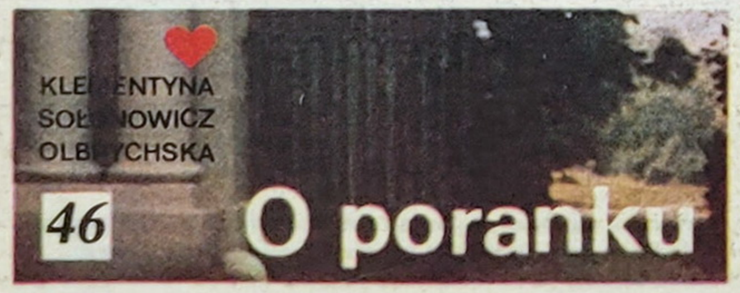

O poranku

Poczerwieniała. Nic lepszego nie mogło jej się zdarzyć w tym czasie, w którym uwielbiała wiersze i przepisywała je z książki do zeszytu.

– Skąd miał tyle pieniędzy? – szepnęła Zuzka do Gabrysi, gdy znalazły się same. Wiedziała, że wujek Hubert wiele nie zarabiał.

– Nic innego, tylko więźniowie się złożyli.

– Rozum ci odebrało. Skąd mieli, żeby dać?

– Lubią go i dali. Może mieli, jak nakradli w swoim czasie i żony przyniosły.

Zuzka się rozzłościła.

– Wujek daje, nie bierze, taki jest! I przestań już trzeszczeć, bo mnie głowa rozbolała. Od ust sobie odejmował, żeby nam przywieźć.

– Może i prawda. On bardzo zmizerniał. Po prostu nie ten sam. Pewnie nie jadł, żeby nam kupić prezenty.

Zuzka wyszła z domu z książką w ręku.

Włożyła zimowe okrycie na lekką sukienkę, ale i tak miała swoją przyjemność, gdy jej spory rąbek wystawał spod palta i każdy widział, że była uszyta z przyzwoitego materiału. Dobrze mieć na wiosnę nową sukienkę.

Ostro pachniała ziemia w pobliskim lesie. Kiełkowały rośliny wyrywając się z burego pokrycia. Pośród suchych, rdzawych liści, które przezimowały, przebijały się liliowe główki małych kwiatków. Mówiąc szczerze nie było tam jeszcze czego szukać.

Przejrzała książkę pod drzewem, ale zziębła trochę i czas było wracać. Dla rozgrzewki przyspieszyła kroku. Biegła teraz omijając wzgóreczki kretowisk, gęsto rozrzucone.

Nie była pewna, ale przecież musiała uwierzyć. Choć było to tak niezwykłe i nieoczekiwane. Witek szedł naprzeciw.

– Przyjechałem – powiedział.

– Przyjechałeś – nie mogła nic lepszego wymyślić.

Szukali twardszego gruntu na błotnistej drodze.

– Przyszedłem właściwie. Godzina z Bączek do Podłęża. Niewiele więcej.

– Przyleciałeś, kiedy tak prędko – uśmiechnęła się. – Musiałeś mieć skrzydła.

Cokolwiek mówili, wszystko dotyczyło tego, że się pojawił. Żadne słowa nie mogły oddać treści tego zdarzenia.

Nie patrzyli na siebie, trzymali się za ręce i wszystko poweselało.

– Gdzie ty, tam ja – powiedział jeszcze.

– Gdzie ty, tam ja – zawołała.

– Gdyby.

Nie był wesoły, bo nie wiedział dokąd Zuzka pojedzie z Podłęża.

– Tak będzie jak powiedziałam. Ojciec dostał pracę w Białymstoku.

Coś dziwnego stało się z Witkiem. Zatrzymał się nagle i podniósł Zuzannę do góry. Miała twarz naprzeciw jego oczu i zauważyła, że były tak jasne jak majowe niebo.

– Będę w tym samym mieście. I to wszystko jest najświętsza prawda.

Postawił Zuzkę na ziemi. Jeszcze raz na nią spojrzał uważnie i napisawszy adres na kartce wyrwanej z notesu powiedział:

– Nie zgub, daj znać gdy przyjedziesz.

Nie odpowiadała, nie musiała mówić. Przytuliła twarz do jego szorstkiej kurtki i tak szli dość niezręcznie, póki nie ruszyli ostrzej oswobodziwszy ręce.

– Teraz będzie sucha droga do samego domu.

Biegli lekko, z ogromną swobodą. Zatrzymywali się od

Dokończenie na str. 7